

# Dziwny zjazd „dziwnych ludzi”

Wiesław Horabik

KIEDY oddział PAP w Poznaniu rozpuścił po kraju „wici”, że „15 sierpnia odbędzie się w Studenckim Siole koło Wetliny zjazd ludzi dziwnych”, niejedno dziennikarskie serce zabiło żywiej. Po zjeździe ludzie bezdomnych i Jarocinie znowu ktoś wpadł na pomysł uchwycenia niesformalizowanego nurtu naszego życia. Organizatorem okazał się „Mój świat” — młodzieżowy miesięcznik z Poznania. Jedynym, i to podstawowym, dylematem pozostało zdefiniowanie pojęcia „dziwny człowiek”. W notatce informacyjnej mówiło się o „punkach, samotnikach, różdżkarzach, buddytach i ludziach uprawiających nietypowe hobby”. Miały być także awangardowe teatry i amatorskie zespoły rockowe. Wiadomo skądinąd, że wybiegano się na zjazd również kilku emerytów z „ciekawym życiorysem”. Na szczęście-nieszczęście jedynie „Głos Wybrzeża” zamieścił całość PAP-owskiej depeszy. Większość oszukanych „dziwnych” przybyła z gdańskiego.

„Woda cicho przelewała się przez kola samochodu. W promieniach słońca była zupełnie przezroczysta. Dokładnie widać było dno rzeki, pełne pracowicie wytoczonych w ciągu setek tysięcy, a może milionów lat kamieni. San mienił się srebrem. Spiewał monotonna i odwiecznie obojętną na ludzkie losy pieśń”.

Tylko do Sanoka można dotrzeć „znormalizowaną” komunikacją. Przelom turnusowy i szczupłość PKS-owskich sił i środków czynią dojazd do Wetliny nierealnym. Przy szosie w stronę Leska przystają jednak samochody. Tak też można wjechać w Bieszczady, choć nie uda się już człowiekowi zamienić miejskiej teczki na turystyczny plecak. W ten sposób można się stać samemu pierwszym dziwnym, gotowym do zlotu dziwnych.

— Taki dziwny, który mówi, że jest dziwny, to frajer — powiada pan Czesiek kierowca. — To dokładnie tak, jak, z przeproszeniem, z wariatem. Tu jest wielu ciekawych ludzi, ale taki zjazd to lipa. O, niech pan spojrzy, to właśnie ten rozwalony w 46-tym bunkier.

Słońce rozlewa się po górach jak roztopione masło. Pamiętam dobrze, jakie są tu niezwykle miejsca. Całe te góry tworzą niby jedność, a każde wzniesienie jest inne. Inaczej rozprostowują się nad nim kolory, a każdy stok zamyka własną tajemnicę.

Wraz z urlopowiczami docierają i tutaj nasze codzienne braki i gospodarcze paradoksy. Dziwny świat turystyki, w którym brak mbiteli, zajazdów, pól campingowych. W Ustrzykach Dolnych z warzyw można kupić tylko ziemniaki, w sklepach brak podstawowych artykułów. W Sanoku grupa młodzieży z NRD zatrzała się salmonellą. W zamkniętej przez Sanepid restauracji urządzono jubel „dla wtajemniczonych”. Dziwny zlot dziwnych ludzi mógłby się u nas odbyć chyba wszędzie. Toczy się nierealne życie w nierealnym świecie. — Tutaj nad wszystkim unosi się aura niereczywistości — powie mi potem dwóch obywateli RFN. — My z tych okolic zrobilibyśmy „złote jabłko”.

— Niech pan się kieruje na Czarną! — krzyczy za mną kierowca.

Myszę o tym, że już niedługo napotkam ekscentryczny świat. Widzę polanę jak w Woodstock pełną kolorowych ludzi. Ktoś na wysokiej beczce głosi orację o przemijaniu. Dziewczyny mają spokojne twarze i srebro we włosach. Jakiś „nawiedzony” unosi ręce nad głową chorego. Grube wojskowe

(Dokończenie na str. 9)

# Wiersze Wysockiego (str. 5); Czy Francuzi lubią Polaków (str. 7); Pierwszy nosiciel AIDS (str. 10-11.) Był lampartem, to jest świnią co się sobą delectował (str. 13)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-4708 Nr 18, 30251

# Kamena

NR 18 (916)

4 września 1988

Cena 35 zł



Sędziwe budowanie monumentalnego teatru w Lublinie budzi już tylko śmiech?

Fot. Andrzej Polakowski

## Czy nasze kraje coś znaczą?

### Rozmowa z Zsoltem Zsebesi, korespondentem Węgierskiej Agencji Prasowej MTI w Warszawie

— Jako korespondent zagraniczny, publicysta, czy wierzy pan w dziennikarskie „powołanie”? Czy nasza profesja ma jakąś szczególną misję do spełnienia?

— Zawsze cenilo się gońca, który przynosił wiadomości. Stosunek do niego był nieodmiennie żywy, nigdy obojętny. Ale już od treści informacji zależało, jak zostanie on potraktowany dalej. Czasami otrzymywał nagrodę, a czasami musiał się pożegnać z życiem. Do dziś politycy zachowali tendencję do obarczania dziennikarzy winą za własne błędy. Kiedy słyszę twierdzenie, że prasa prezentuje coś niewłaściwie, wiem, że nadchodzi kolejny polityczny kryzys.

Dziennikarze nie uratują jednak pokój ani nie wywołają wojny. Mogą

natomiast być wykorzystywani do wspomagania działań w obu tych kierunkach. Dziennikarstwo, próbując zbrzozować rzeczywistość na swój sposób ją zinterpretować, podlega bezustannie rozmaitym presjom. Prasa i polityka są ze sobą ściśle powiązane. Nie oznacza to wszakże, że żurnaliści nie mogą wnieść własnego, pozytywnego wkładu w historię ludzkości. Nie wierzę jednak w siłę sprawczą „massmediów”.

— Polacy i Węgrzy uważani są za narody darzące się autentyczną sympatią. Z czego wynika, pana zdaniem, to uczucie? Czy powiedzenie „Polak — Węgier, dwa bratanki” straciło wiele wobec naszych ostatnich „turystycznych” wojazy nad Dunaj?

— Nasze historyczne powiązania były na ogół takie, że nie prowadziliśmy

przeciwko sobie poważniejszych wojen, a przez wiele wieków posiadaliśmy zbieżne interesy. (Odmienne miały się sprawa z innymi sąsiadami Węgier). Bardzo ważny wydaje mi się także udział Polaków w Wiośnie Ludów. Węgrzy dobrze o tym pamiętają, a generał Bem zyskał sobie nawet przydomek „ojca narodu węgierskiego”. Jest to ciekawy i rzadki przypadek by cudzoziemca uhonorować w tak szczególny sposób.

Ważniejszą wszakże rolę w kształtowaniu obopólnej sympatii wyznacza, moim zdaniem, podobieństwo naszych narodowych charakterów: umiowanie

Dokończenie na str. 10-11



# Jeńcy włoscy w rękach Niemców

Józef Marszałek

spawać krótkoterminowe ultimatum. Należy je sformułować w tym sensie, że odpowiedzialni za opór włoscy dowódcy zostaną rozstrzelani jako partyzanci, jeśli do ustalonego terminu nie wydadzą swym wojskom rozkazu złożenia broni niemieckim jednostkom".

Barbarzyński rozkaz pozbawił de facto statusu jenieckiego opornych oficerów, szczególnie na Bałkanach, gdzie wiele jednostek taktycznych (spośród stacjonujących tam trzydziestu dywizji włoskich) w sposób aktywny przeciwstawiało się Niemcom. W takiej sytuacji niefortyści z hitlerowskich generałów „zastrzone przepisy” znacznie „udoskonalił”, nakazując rozstrzelanie włoskich oficerów i żołnierzy nawet za niszczenie zapasów broni i amunicji lub rozpraszenie się wśród ludności cywilnej.

Najbardziej brutalnie ze stawiającym opór Włochami obeszli się: gen. Lothar Rendulic, dowódca 2 Armii operującej w Chorwacji, sprawca mordu oficerów włoskich z dywizji Bergamo oraz Taurinense; gen. Hubert Lanz, dowódca XXII Korpusu, który po zdobyciu wyspy Kefalonii polecił rozstrzelać gen. Gandiniego wraz ze sztabem. Podobnie i po zajęciu wyspy Korfu gen. Lanz nakazywał, by jednostki XXII korpusu nie brały do niewoli jeńców, a likwidowały ich na miejscu. Oznaczało to rozstrzelanie bez sądu czy postępowania doraźnego, wbrew normom prawa międzynarodowego.

Nie znamy ilości ofiar wymienionych generałów, nie mówiąc już o nie wymienionych. Faktem jednak jest, że część opornych Włochów znalazła się w obozach. Tak więc w stalagach przebywali oficerowie i żołnierze kategorii drugiej oraz częściowo trzeciej, którzy uniknęli śmierci na miejscu.

## Ilu było Włochów w obozach?

Wróćmy do pytania stawianego na początku. Ilu jeńców włoskich znalazło się w obozach? Czy w ogóle jest możliwe ustalenie takich danych? Pytanie to o tyle zasadnicze, że w naszej publicystyce i historiografii podawano dane szacunkowe, oparte (w przypadku stalagów rozmieszczonych na ziemiach polskich) na relacjach czy zeznaniach świadków. Nie wykorzystywano „Miesięcznych raportów Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu do Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, zawierających dane statystyczne dotyczące jeńców wojennych różnych narodowości w stalagach i oflagach”, a znajdujących się w archiwum Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie.

Ten dokument, będący podstawą dalszych rozważań, którego dane, gdy idzie o jeńców włoskich, prezentujemy po raz pierwszy czytelnikowi polskiemu, nie budzi większych zastrzeżeń co do swej wiarygodności. Poczynając od października 1943 r. do stycznia 1944 r., niemieckie władze wojskowe na ogół regularnie informowały Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża m. in. o stanach jeńców włoskich. Statystyka ta zawiera jedynie luki dla listopada 1943 oraz marca i sierpnia 1944 r. Dla tych trzech miesięcy nie nadesłano danych zapewne w związku z przemieszczeniem jeńców ze wschodnich rejonów na Zachód pod wpływem wydarzeń militarnych szczególnie w 1944 r. ofensywy lutowo-marcowej oraz lipcowej wojsk radzieckich.

Otóż według podanej przez Wehrmacht informacji za październik 1943 r., w stalagach, czyli obozach dla żołnierzy (Soldatenlager), znalazło się 321.942 Włochów, w tym 6.769 oficerów. Dornierzywać należy, że liczba ta obejmuje Włochów rozbitych w ciągu września — października. W następnych dwóch miesiącach Niemcy rozmieścili w obozach około 200 tys. jeńców, stąd też grudniowy stan wyniósł 512.276 osób, w tym 22.096 oficerów. Najwyższy wskaźnik osiągnęły włoskie stalagi w lutym 1944 r. — 599.025 osób. Po czym w okresie: kwiecień — lipiec tegoż roku stan utrzymywał się na poziomie 587 tys. Od września 1944 r. następował systematyczny spadek. Był to wynik porozumienia pomiędzy Berlinem a rządzoną przez Mussoliniego Włoską Republiką Społeczną, mocą którego 5/6 jeńców włoskich uznano za robotników cywilnych zobowiązanych do pracy w Rzeszy. Toteż ze stanu stalagów zdjęto w ciągu września — listopada 1944 r. pół miliona jeńców włoskich. W styczniu 1945 r. wykazywano jeszcze 68.142 osoby, w tym 14.446 oficerów.

W olbrzymiej większości rozlokowano jeńców włoskich w stalagach rozsiadanych na terenie dwudziestu dwóch okręgów wojskowych Rzeszy. W lutym 1944 r. przebywało tam 496.825 osób, a w miesiącach następnym stan uległ zwiększeniu — w czerwcu 1944 r. do 515 tys. Tak więc w stalagach na terenie Rzeszy między lutym a czerwcem 1944 r. średnio przebywało od około 80 do 90 proc. ogółu jeńców włoskich. Pozostałe 10—20 proc. rozlokowano głównie na obszarze Bałkanów oraz GG.

## Na teren Generalnego Gubernatorstwa

Jeńców włoskich zaczęto deportować już we wrześniu 1943 r. W październiku w trzech obo-

zach przebywało 6.221 jeńców (Dęblin — 2.507, Przemyśl — 2.176, Częstochowa — 1.538), w tym 5.607 (90 proc.) oficerów. W grudniu w stalagach GG liczebność jeńców włoskich zwiększyła się do 24.835 osób, w tym blisko 90 proc. oficerów. Najwyższe wskaźniki osiągnęły obozy w styczniu 1944 r. I tak: w Dęblinie przebywało wtedy 7.765 osób, Chełmie — 2.163, Przemyślu — 3.555, Lwowie — 2.441, Benjaminowie — 2.720, Siedlcach — 4.477, Częstochowie — 1.646 i Stryju — 47 jeńców. Łącznie we wszystkich wymienionych stalagach ułożono 28.814 osób, w tym 22.016 oficerów. Dane powyższe obejmują obozy macierzyste i ich filie. Tych ostatnich w oficjalnej dokumentacji nie wymieniano, np. nie figurują takie obozy jak: Biała Podlaska — filia Siedlce, Zajeziarze — filia Dęblin czy Nehrybka koło Przemyśla.

Pobył Włochów w masie (28.814 osób), obejmującej około 5 proc. całego stanu liczbowego jeńców włoskich w rękach Niemców, trwał praktycznie w GG do marca 1944 r. Odtąd, pod wpływem ofensywy lutowo-marcowej wojsk radzieckich na Ukrainie, przystąpiono do likwidowania obozów najbardziej wysuniętych na wschód (Stryj, Chełm, Benjaminów), względnie ograniczono w nich liczebność jeńców do minimum, np. w Przemyślu — 14, Lwowie — 18, Dęblinie — 1, Siedlcach — 38 osób. Całą masę ponad 26 tysięcy wywieziono do stalagów zlokalizowanych na terenie Rzeszy. Między marcem a lipcem 1944 r. w obozach w GG pozostawało średnio 2.162 jeńców (w tym około 90 proc. oficerów). Jedynym stalagiem, w którym trudno dostrzec wpływ wydarzeń lutowo-marcowych na froncie wschodnim, był obóz w Częstochowie. Przebywało w nim 2.143 jeńców, czyli od marca 1944 r. gros wszystkich Włochów w GG, ale i tych w wyniku lipcowej ofensywy radzieckiej wywieziono do Niemiec. Od sierpnia 1944 r. nie notuje się pobytu jeńców włoskich na terenie GG.

Z zaprezentowanej tu statystyki jasno wynika, że przez stalagi w GG przeszło ponad 28 tysięcy Włochów, a nie, jak szacuje Jacek Wilczur w książce pt. „Niewola i eksterminacja jeńców wojennych Włochów w niemieckich obozach jenieckich” (Warszawa 1969), 40, a nawet ponad 50 tysięcy, jeśli uwzględnić dane z Benjaminowa, Dębina, Częstochowy i Stryja. Gdy do liczby 28.814 internowanych dodamy 10 proc. biorąc pod uwagę możliwy ruch między obozami Rzeszy a GG oraz śmiertelność w okresie wrzesień — grudzień 1943 r., otrzymamy cyfrę najwyższej 32.000 jeńców włoskich, którzy znaleźli się w omawianych obozach Generalnego Gubernatorstwa.

Drugi ważny fakt, znajdujący udokumentowanie w „Miesięcznych raportach”, to skład jeńców. W stalagach GG znalazł się niemal cały ujęty włoski korpus oficerski. Nietrudno zauważyć, że stało się to wbrew zasadom prawa międzynarodowego. Zgodnie z przepisami Konwencji Genewskiej, oficerowie winni znaleźć się w obozach oficerskich — oflagach. Tymczasem władze Wehrmachtu, realizując „Wytyczne” z 15 września 1943 r., kierowały ich do stalagów (obozów o znacznie ostrzejszym reżimie) z myślą o ewentualnym skłonieniu do opowiedzenia się po stronie niemieckiej, a przeciw marszałkowi Badoglio.

Z licznych zeznań polskich świadków, składanych w komisjach badania zbrodni niemieckich w 1946 r., oraz z prowadzonych dochodzeń przez Główną Komisję w latach 1961—1962 wynika, że jeńców włoskich w stalagach GG początkowo traktowano znośnie. Reżim uległ dopiero stopniowemu zaostrzeniu, gdy podejmowane próby przeciągnięcia jeńców na stronę marionetkowego rządu Mussoliniego nie przynosiły większych efektów. Wtedy to w niektórych obozach społeczność jeniecką (np. Chełm, Biała Podlaska, Przemyśl) podzielono na dwie grupy: tych, którzy zdecydowali współpracę z Niemcami (zwykle nielicznych, przewidzianych do wysłania na front, względnie do służb pomocniczych) oraz na opowiadających się za rządem włoskim Badoglio, współdziałającym z aliantami.

Przez pewien okres, do czasu zwolnienia z obozu, przetrzymywano obydwie grupy razem, wyraźnie faworyzując pierwszych, zaś drugich poddając coraz ostrzejszemu reżimowi, by tym sposobem wymusić zmianę zdania internowanych oficerów i ponownie zyskać sprzymierzeńców przynajmniej w zakresie służb pomocniczych na froncie. Zmniejszono więc niepokornym racje żywnościowe, zmuszono do pracy, stosując różnego rodzaju szykany, we znaki dawały się też prymitywne warunki sanitarno-higieniczne oraz klimat jesieni i zimy 1943 i 1944 r. Wszystko to powodowało w obozach wzrost chorób, w tym epidemicznych, a co za tym idzie i śmiertelność jeńców. Brak danych, pochodzących z kancelarii poszczególnych obozów, uniemożliwia liczbowe określenie, nawet w przybliżeniu, tego zjawiska.

Niewiele można powiedzieć o egzekucjach oficerów włoskich, inicjujących w obozach opór przeciw akcji współdziałania z Niemcami. Sędztwo, prowadzone w tej sprawie przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich, ujawni-

niło przypadki zbiorowego mordu takich oficerów z obozów w Chełmie, Przemyślu, Siedlcach i we Lwowie. Ostatniego przypadku — jak informuje „Corriere della sera” z 17 lutego br. — nie potwierdziła, badająca sprawę w ZSRR, włoska komisja rządowa. Szokująca rozbieżność pomiędzy stroną polską a włoską dotyczy obozu w Dęblinie. Jacek Wilczur, ekspert do spraw eksterminacji jeńców włoskich na ziemiach polskich twierdzi, że spośród 10.000 jeńców dęblińskich (najwyższy stan z filią w Zajeziarzu w II 1944 r. — 8.475 osób) zginęła ponad połowa, podczas gdy włoskie Ministerstwo Obrony podało w 1965 r., że w Dęblinie zmarło 10 osób („La Stampa” z 19 II 1968 r.)!

Rozbieżności te wynikają z faktu, iż dotychczasowe ustalenia polskie opierały się — przypomnijmy — na dość jednostronnym źródle — relacjach, zeznaniach Polaków stykających się z jeńcami włoskimi, względnie przekazach współczesnych, nie zawsze dokładnie sprawdzonych. W materiałach Komisji Badania Zbrodni brak przede wszystkim relacji, wspomnień czy zeznań byłych internowanych jeńców włoskich.

Według J. Wilczura, w obozach jenieckich GG zginęło około 18 tys. Włochów, czyli ponad 50 proc. spośród tych, którzy faktycznie przeszli przez te obozy. Tak wysoki wskaźnik śmiertelności sugeruje, że Włochów traktowano identycznie jak jeńców radzieckich w latach 1941—1942. A przecież wiadomo, że w roku 1943, w okresie klęsk militarnych Rzeszy, ze względu na konieczność wykorzystania w niemieckiej gospodarce siły roboczej jeńców czy więźniów, złagodzone traktowanie uwięzionych lub internowanych, w tym nawet jeńców radzieckich. Wyrazem tezy o niemal totalnej eksterminacji jeńców włoskich w GG jest przyjmowanie za fakt (tak w publicystyce, jak i historiografii), że unicestwiano ich w obozach śmierci (na równi z Żydami) w Bełżcu, Treblince, na Majdanku, kiedy faktycznie na terenie pierwszego, po wysadzeniu komór gazowych i zniszczeniu baraków, wiosną 1943 r. rósł już las, drugi znajdował się wtedy w likwidacji, a i w trzecim nie stwierdzono pobytu jeńców włoskich.

## Ilu zatem mogło zginąć Włochów

w obozach głównych i ich filiach w GG? Trudno odpowiedzieć na to pytanie jednoznacznie, kiedy nie dysponuje się materiałem wytworzonym przez kancelarie obozowe, a w dostępnym materiale statystycznym występują poważne luki. Według kierowanych do MCK raportów Wehrmachtu o stanach jeńców w stalagach i oflagach, między grudniem 1943 r. a lutym 1944 r. w obozach GG ubyło 80 oficerów włoskich, zaś między kwietniem a lipcem 1944 r. — 20. Ubytek ponad 100 oficerów (brak danych za marzec 1944 r.) między grudniem 1943 r. a lipcem 1944 r. oznaczać może zgony, ewentualne zwolnienia ugodowców, jak i ruch między obozami w GG i Rzeszy. Brak jakichkolwiek informacji o zmianach w stanie osobowym jeńców w okresie: wrzesień — grudzień 1943 r. uniemożliwia wręcz ustalenie realnej podstawy szacunku strat osobowych. Spróbujmy mimo tego dociekać dalej.

Wiadomo, że we wszystkich obozach jenieckich na terenie Rzeszy i ziem okupowanych w latach 1943—1945 straciło życie 32 tysiące Włochów, czyli około 5 proc. ogółu internowanych (przyjmujemy średnią 587.000 jeńców). Jeśli zatem ze względu na zaostrzony reżim stalagów w GG wskaźnik śmiertelności określimy nie na 5 a na 10 proc. ogółu osadzonych, bilans zmarłych i pomordowanych Włochów w GG wyniesie ponad 3.000 osób. Jest to, jak się wydaje, ostrożny punkt wyjścia dla szacunku strat osobowych jeńców włoskich w GG. Natomiast właściwe ustalenie możliwie pełnej listy należy do strony włoskiej, a nie polskiej.

I jeszcze jeden problem godny podkreślenia — odczuwalna pomoc Polaków dla internowanych Włochów we wszystkich miejscowościach, gdzie przebywali jeńcy. Nawet bariera językowa nie stanowiła przeszkody we wzajemnej komunikacji, a zaangażowanie się księży katolickich umożliwiała bliższy kontakt. Jeńców darzono sympatią jako tych, którzy przeciwstawili się okupantowi hitlerowskiemu. Toteż spontanicznie spieszyli z pomocą pracujący na terenie obozów robotnicy polscy — bezinteresownie czy za opłatą. Pomocy udzielali też oficjalnie istniejące Komitety Rady Głównej Opiekuńczej. Organizacje konspiracyjne, głównie AK i BCH, starały się rozegnać problem jeńców i użyć doń wygłodzonych Włochów. Czyniono tak przez cały czas ich pobytu w obozach — w sposób oficjalny, kiedy to było możliwe, jak i układkiem podrzucając żywność, odzież, papierosy.

**M**AREK wyszedł z biura o piętnastej. Nie spieszył się do domu. Marta zaraz po zakończeniu pracy miała jechać do matki. Ostatnio odwiedzała ją częściej — powiedziała mu, że tamta gorzej się czuje. Rozumiał to, ale sam nie zaglądał do teściowej. Od początku czuli do siebie antypatię. Miała długo córce za złe, że wyszła za niego. Już na przyjęciu ślubnym dowiedział się od usłużnej ciotki, że „nie takiego powinna Marta mieć męża, dała się głupia kosa nabrać na piękne słówka”. Nie mógł tego zapomnieć. „Wróci późno — pomyślał. — Mam czas”.

Postanowił się przejść. Rzadko to robił. Dzisiaj jednak był wyjątkowy dzień. Chciał mieć przed przyjściem do domu jakiś zdecydowany plan taktyczny ogólnego przekazania Marcie wcześniejszych wydarzeń. W poprzednim dniu nie zrobił tego. Był bardzo przejęty, obawiał się, że może popełnić jakiś błąd. Ale dzisiaj musi jej o tym powiedzieć — choć wcale nie zamierzał powiedzieć wszystkiego. Jednak zbyt dobrze znała Roberta, żeby mógł przed nią wszystko ukryć. Robert był przecież nie tylko jego szefem, ale także jej znajomym sprzed lat. Wprawdzie od czasu do czasu Marek marzył na niego, lecz to zupełnie co innego niż obecna sytuacja. Wmawiał w siebie, że tym razem musiał tak postąpić. Nie wolno mu było patrzeć na to, co tamten robi, i milczeć. Niby dlaczego miałby go ochraniać? W imię czego? Uważał, że postąpił właściwie.

Siedział wolno ulicą Karmelicką w kierunku domu. Przystawał przed wystawami sklepowymi, spoglądając bez zainteresowania na wystawione towary. Nie nie potrafiło oderwać go od napływających myśli. Rozważał. Gdzieś tam głęboko zaczął krystalizować się plan.

Kiedy znalazł się w mieszkaniu, poczuł głód. Wyjął z lodówki kotlet, kapustę i wczorajsze ziemniaki. Odgrzał na patelni i zjadł. Zaparzył herbatę z gorącą siorbał krótkimi łykami. Zamierzał przeglądać gazetę. Nagle usłyszał dzwonek przy drzwiach. Pospiechał do przedpokoju. Nie miał zwyczaju zaglądania przez wizjer więc zaraz otworzył drzwi.

Stali przez chwilę, mierząc się wzrokiem. Marek czuł, jak krew spływa mu do nóg.

— Mogę? — spytał Robert.

— Wejź — odpowiedział głosem, który wydobywał się jakby z głębokiej studni.

Przeszli w milczeniu przedpokój. Robert zatrzymał się przed otwartymi

drzwiami pokoju. Marek zrobił znaczący ruch ręką. Weszli. Robert stał i wpatrywał się w niego ostrym wzrokiem. Trwała cisza. Markowi serce tłukło się w piersiach. Był zaskoczony i zupełnie wytracony z równowagi. Czekal, co tamten powie.

— Jesteś zwykłym skurwysyrcem! — wycedził Robert przez zaciśnięte zęby.

— Pięknie mi się odwdzięczyłeś za to, co dla ciebie zrobiłem. Ale się pomyliłeś. Rozgniótę cię jak gówno. Zapamiętaj to sobie!

— Czego chcesz? — warknął Marek.

— Skończyły się twoje kombinacje. Spieprzaj! Nie mamy o czym gadać! Ale już!

Potężne uderzenie w twarz prawie zwałiło go z nóg. Przypomnił sobie później, jak pięści Roberta tłukły go niemiłosiernie. Zakrył twarz rękoma. Chciał uciec przed gwałtownymi ciosami. Wreszcie jego głowa uderzyła o coś twardego i upadł.

Kiedy odzyskał przytomność, leżał na dywanie. Robert klęczał przy nim. Marek poczuł, że strużki wody ciekną mu po szyi. Z nosa pęłał po twarzy przejmujący ból. Działka krwawiły, a pod rozpuchniętymi wargami czuł powierchnię zębów. Miał wrażenie, że zapada w jakiś sen. Dopiero tamten przywrócił mu ponownie świadomość, dotykając ostro jego ramienia. Marek otworzył szeroko oczy. Obok klęczącego Roberta zauważył plastikową miednicę z wodą, a w rękę tamtego ręcznik.

— Umyj się. No, umyj się! Wsparł się na łokciach i podniósł powoli, w milczeniu. Kilka razy zanurzył twarz w miednicy. Woda była zimna, to otężyło go. Usiadł na wersalce i przytłoczył rękami zmoczone włosy.

Robert patrzył na niego przez chwilę, a potem powiedział z przyciskiem:

— Pamiętaj! Mówię ci po dobroci. Postawiłeś na złą kartę. Przegrasz! Marek nawet nie spojrzął na niego. Co go to teraz obchodziło — czuł się fatalnie.

— Robert przerwał, jakby oczekiwał reakcji na swoje słowa. Ale Marek milczał. Wtedy tamten zapytał:

— Czemu nic nie mówisz? Przecież chcesz mnie wykopać za stanowiska, a może nawet masz ochotę wsadzić za kratki. Może nie? Jesteś sukinysem! No, gadaj!

Marek podniósł lekko powieki. Robert stał przed nim z wykrzywioną twarzą. Wtedy Marek zaczął wpatry-

wać się w niego jednostajnym nieustępliwym wzrokiem. Ten nie wytrzymał napięcia i znowu zaczął mówić:

— Dlaczego to zrobiłeś? Co ci zrobiłem?

A Marek wciąż patrzył na niego. W jego świadomości rysował się powoli obraz Roberta. Widział go takim, jakim chciał go widzieć. Patrzył na mocny profil szczęki i potężne ramiona. Jeszcze się bał.

# DONOS

Lucjan Zuzia

— Widzisz — ciągnął Robert — wiedziałem o twoich ciągach do zrobienia kariery, wiedziałem, że chcesz za wszelką cenę dorównać innym i zaimponować Marcie. Kiedy się zorientowałem, mogłem bez skrupułów pozbyć się ciebie, ale nie zrobiłem tego ze względu na nią. Cały czas myślałem o niej. Chciałem być blisko niej. Myślisz może, że kocham ją jeszcze. Dawniej tak, ale nie teraz... Czekałem na moment, w którym będę mógł ją upokorzyć. Nie kocham, ale chcę ją — rozumiesz. Zawsze była taka wyniosła, może właśnie dlatego chciałem ją mieć w łóżku i będę ją miał, żeby zgnębić w sobie to uczucie, którego doświadczałem przy każdym z nią spotkaniu. Czy to w ogóle rozumiesz?

Marek spoglądał na niego coraz bardziej zdziwiony a zarazem zaniepokojony. Nie mógł uwierzyć w to, co usły-



Rys. Zbigniew Cieniuch

szal. Nawet na myśl mu nie przyszło, że w Robertcie tkwiło gdzieś opętające uczucie do Marty. W tym momencie nie czuł już żadnych wyrzutów sumienia. Należało się to Robertowi dawno — choć jeszcze przed samymi drzwiami gabinetu prezesa Marek powtarzał sobie, co niegdyś wbijano mu do głowy na nauce religii: „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe”. „Co mi tam... — pomyślał lekceważąco. — To tylko takie gadanie. Dlaczego mam takiego drania

żalować? Niech sobie gada. Nic mu to już nie pomoże”.

Patrzył na Roberta prawie z nienawiścią, ale nadal milczał. Tamten przez chwilę wpatrywał się mu w twarz zjadliwym wzrokiem, nim ponownie zaczął:

— Zawsze uważałem cię za ofiarę, nędznego wyrobnika, takiego, co do niczego nigdy nie dojdzie. Czasami myślałem sobie, co ta Marta zobaczyła w tej ofierze?

Marek odezwał się pierwszy raz:

— Czy nadal myślisz, że jestem ofiarą?

— Myślę, że stałeś się takim małym, gównianym cwaniaczkiem, który chce coś zrobić, coś mieć, kimś być, ale brakuje mu odwagi. Co z ciebie za chłop?

— Uważasz tylko siebie za mężczyznę? — snył z drwiną, jakby delektując się tym, że naprawdę jest lepszy, bo Marta właśnie wybrała jego, i tym, że teraz też wygrał.

— No, to przyznaj się Marcie, cwaniaczku, że dostałeś ode mnie po gębę. Wiem, że się nie przyznasz. Wymyślisz jakieś kłamstwo, bo byłbyś dla niej kompletnym zerem. A ty chcesz jej imponować, chcesz, żeby patrzyła w ciebie jak w obraz i była tylko twoja. Ty jesteś jej mężem, ale jej nie znasz. Zresztą, co ty wiesz o kobietach? Byleś i jesteś niczym. Urobisz się po pachy, a i tak nie będziesz miał nic. Kiedy się dowie, jak zdobyłeś stanowisko, splunie na ciebie, zostawi cię, choćbyś skomlał jak pies u jej nóg —

# Polacy w Brazylii

Teresa Hrankowska

**P**OCZĄTKI osadnictwa polskiego w Brazylii były trudne — łączyły się zarówno z uwarunkowaniami ekonomicznymi i demograficznymi na ziemiach polskich, jak też ze szczególnym nawarstwieniem zdarzeń w największym kraju Ameryki Łacińskiej.

Brazylija — za uznanie swej niepodległości uzyskanej w roku 1822 — zmuszona była zgodzić się na zawarcie z Anglią traktatu o zakończeniu handlu niewolnikami sprowadzanymi przez trzy wieki z Afryki; w 1831 roku wydany został dekret uwalniający wszystkich robotników przywiezionych po roku 1830, a w 1888 roku księżniczka Izabela, córka cesarza Pedro II, podpisała „Złote Prawo” — akt zniesienia niewolnictwa.

W całym rolnictwie brazylijskim, a szczególnie na rozwijających się gwałtownie uprawach kawy, sprowadzonej do Brazylii pod koniec trzeciej dekady XVIII wieku z Gujany Francuskiej, zaczęto odczuwać coraz dotkliwszy brak siły roboczej. Chcąc zaradzić narastającym trudnościom, rząd bra-

zylijski zwraca się do kompanii morskich z propozycją współpracy w werbowaniu europejskich emigrantów, przeznaczając na ten cel wysokie sumy. I tak za każdego dorosłego robotnika obiecuje zapłacić 168 franków, za dziecko w wieku od 8 do 12 lat — 50 proc. mniej, a od 1 do 8 lat — odpowiednio 75 proc. Skuszone możliwością zarobku, agencje otwierają swoje biura w Portugalii, Hiszpanii, Włoszech i Niemczech, rozprowadzają broszury, komunikaty i informacje o darmowej podróży, przydzielanych działkach i korzystnych warunkach zagospodarowania się na drugiej półkuli. Brazylija przedstawiana jest jako „ziemia obiecana”, niemal biblijny raj, gdzie nieustannie świeci słońce, owoce jest w bród, a ziemia bardzo urodzajna i niemal nie trzeba na niej pracować.

Jeszcze przed uzyskaniem niepodległości Brazylii cesarz Pedro I za namową swojej żony, arcyksiężniczki austriackiej Marii Leopoldyny, decyduje się na sprowadzenie chłopów niemieckich; dokumenty potwierdzają, że 18 lipca 1824 roku do południowego

stanu Rio Grande do Sul przybywa grupa 10 rodzin tej narodowości. Do roku 1830 liczba emigrantów niemieckich wzrasta do około 5000, a w latach następnych systematycznie się powiększa. Około połowy wieku przybywają Włosi, Irlandczycy, Portugalczycy, Hiszpanie i Szwajcarzy.

Obecność Polaków w Brazylii stanowi niejako odzwierciedlenie naszej historii. Jeszcze przed zorganizowaną emigracją — która osiedliła się na południu w trzech stanach: Rio Grande do Sul, Santa Catarina i Parana — znaczyli oni swój ślad w dziejach tego kraju.

I tak w wieku XVII działa w Brazylii z ramienia Holenderskiej Kampanii Zachodnioindyjskiej Krzysztof Arciszewski, nieustraszony admirał wojsk holenderskich walczących w stanach Pernambuco i Bahia z Portugalczycami. Po wojnach napoleońskich osiedla się w stanie Goias żołnierz legionów Dąbrowskiego, generał broni Antoni Dołęga-Czerwiński, który na gruntach otrzymanych od Pedro I zakłada fazendę o

nazwie „Polonia”. Po upadku powstania listopadowego zjawia się w armii brazylijskiej major Florestan Rozwadowski, prowadzący zwłaszcza na terenie stanu Minas Gerais — najbogatszego w zasoby kopalniane — badania geologiczne. Zasłynął on później jako autor pierwszych zdjęć rzeczy Amazonki i autor pracy „Rząd i kolonizacja, czyli rozważania o Brazylii i sprowadzeniu cudzoziemców”, wydanej w języku portugalskim. Po latach wrócił do kraju i najprawdopodobniej zginął w powstaniu styczniowym.

W roku 1836 osiadają w Brazylii inżynierowie: Andrzej Przewodowski — wzięty architekt, twórca licznych budowli i mostów, m.in. mostu na rzece Paranagua w stanie Bahia, którego potomkowie do dziś utrzymują tradycje narodowe, i Adam Kulczycki, autor opisu podróży statkiem z Anglii do Ameryki Południowej. W Rio de Janeiro mieszkał lekarz Piotr Czerniewicz, wysyłający w 1842 roku korespondencje do „Biblioteki Warszawskiej”. W roku 1849 do kolonistów niemieckich na południu Brazylii przyjeżdżają dwaj jezuiti z prowincji krakowskiej — Augustyn Lipiński i Jan Sediak. Na szczególną uwagę zasługuje postać Hieronima Durskiego z Poznania, który znalazł się w Brazylii w 1851 roku, gdzie początkowo zajmował się uprawą roli w stanie Santa Catarina, by następnie — już po przybyciu polskich kolonistów — poświęcić się pracy pedagogicznej. Durski był kierownikiem pierwszej polskiej szkoły w Brazylii, a także autorem elementarza dla dzieci. Z pozostawionego przez niego pamiętnika,

rozumiesz to? Jestem pewien, że znajdzie się taki, co jej naprawdę zaimportuje — soba i forsa.

Marek zadziwił. Gdzieś z zakamarków wypełzały dawno zasłyszane słowa. Przymyślał sobie, jak pewnego razu Marta wyraziła się o swojej przyjaciółce: „Nie ma się czemu dziwić, że wolała budylnarza z forszą i domem aniżeli tego inżynierka bez mieszkania. Co za widoki na przyszłość”.

Czuł w tym momencie, że myśli klebią mu się w mózgu jak żmije poruszające kijem. Co jedna, to bardziej zjadliwa. Wkrecały się w czaszkę, aż odczuwał ból. Po pierwszym tryumfie nad Robertem nagle znalazł się w stanie rozstroju. Wydawało mu się, że za chwilę zwarują. Teraz już rozumiał, że Robert zmoca się nad nim, jednocześnie zdając sobie sprawę, że to wszystko jest prawdą.

— Tak sądzisz? — odpowiedział niepewnie.

Robert wyczuł, że trafił celnie. Więc sączył dalej swój jad:

— Masz się nie wiadomo za kogo. Kim ty jesteś dla niej? Chudym, rozdzielam w życiu. Niedługo ten rozdzielacz zamknie. Ona wie, że może sama wszystko osiągnąć — bez ciebie. Mężczyźni oglądają się za nią. Czujcie swoją siłę. Jeszcze trochę, a położę na tobie krzyżyk. Jesteś szmatą — zwykłą szmatą i szmatą rozstaniesz!

Marek zacisnął zęby z wściekłości, ale nie na tego człowieka, który tu, w jego własnym mieszkaniu, zbił go, nautubił, a teraz jeszcze rozprawia swobodnie o jego żonie. Zamiast wysuniętej szczęki i kruczonych włosów Roberta zobaczył przed sobą kasztanowate, długie, rozrzucone włosy Marty, a między nimi wystające półkule pierśi i jakąś meska-niezidentyfikowaną postać. Oblediał go strach. Ich współżycie coraz częściej było nieudane. Stało się między nimi gmatwało. Zdawało mu się, że coś ostrygo przesywa mu serce. Zacisnął ręce na poręczach wersalki, aż zdawało się, że palce wcisną się w drewno. Rozglądał się nieprzytomnie po pokoju. Ale widział przed sobą tylko potężną postać Roberta. Miał teraz jedno pragnienie: aby ta postać zniknęła mu z oczu. Zdobył się na wysiłek i wykrztusił:

— Idź już stąd!

Łomot zatrząskiwanych drzwi przyniósł mu chwilową ulgę. Siedział jednak nadal odrętwiały. Potem podniósł się ocieślał, wylał wodę z miednicy, recznik powiesił w łazience, poprawił

pokiereszowany dywan i klapnął na fotel.

Zastanawiał się, jak przedstawić to wszystko Marcie, żeby uniknąć podejrzeń i nie stracić w jej oczach. Na samą myśl, że mogłaby go rzucić, aż się spocił. Bał się tej rozmowy bardziej niż ciosów Roberta.

Kiedy otworzył oczy, stwierdził ze zdumieniem, że nadal tkwi w fotelu. W pokoju było ciemno. Przetarł oczy wierzchem dłoni. Wtedy poczuł ból w przegrodzie nosowej. Przymyślał sobie wszystko. Dotknął palcami otmuchniętych warg. Doznany ból przywrócił mu jasność umysłu. Odszukał wiszący przy lampie włącznik i nacisnął przycisk. Łagodne światło padające spod abażura zalało pokój. Przeraził się, patrząc na zegarek. Dochodziła 23.50. Rozejrzał się po pokoju. Marty nie było.

Zdenerwowany ponownie spojrzął na zegarek. Wpatrywał się w niego nieprzytomnie, sekundnik przesuwał się rytmicznie. „Co się stało?” — pomyślał zaniepokojony. Sflaczały i zdjęty niedobrymi przeczućmi, ponownie zagłębił się w fotelu. Czekał. Minuty wlewały się niemiłosiernie. Cisza.

Rozważał jeszcze raz wszystko od początku. Doszedł do wniosku, że musiało się coś przytrafić jej matce, dlatego została na noc. Uspokoił się trochę. Postanowił się położyć. Długo nie mógł zasnąć. Spał niespokojnie. Była piąta rano, gdy zerwał się z posłania pod wpływem koszmarnego snu. Śniło mu się, że Marta topi się w rzecze, wyciąga ręce do niego, a on stoi i krzyczy bezradnie na brzegu, bojąc się wejść do czarnej toni, gdyż nie umie pływać.

Robert nie zjawił się w pracy, ale Marka to nie obchodziło. Było mu to nawet na rękę. Po ósmej zadzwonił do instytutu. Poinformowano go, że Marta gdzieś wyjechała — wróci około dziesiątej. Czekał niecierpliwie na telefon.

Kiedy usłyszał jej melodyjny głos w słuchawce, podniecenie opadło. Cios spadł niespodziewanie. Ten melodyjny głos poinformował go, że zabrała rano swoje rzeczy i przeniosła się do matki. „Nie rób mi scen i nie przychodź tutaj, to na nic się nie zda. Musisz się pogodzić, że nie pasujemy do siebie. Sam zresztą o tym dobrze wiesz. Porozmawiamy któregoś dnia, ale w kawiarni. Zadzwonie do ciebie” — powiedziała na zakończenie i odłożyła słuchawkę.

W tym momencie zaterkotał na jego biurku telefon. Prezes wzywał go do siebie.

prorowadzonego w języku portugalskim, dowiadujemy się, że prenumerował pisma z Polski (m.in. „Dziennik Poznański” i „Goniec Wielkopolski”), otrzysmywał literaturę w języku ojczystym, a dla pierwszej rządowej Biblioteki Publicznej w Kurytybie (otwartej w 1886 roku) ofiarował sześć polskich książek.

To powolne „przeciekanie” Polaków na drugą półkulę łączyło się głównie z klęską kolejnych zrywów narodowych, natomiast zbiorowy ruch emigracyjny był wynikiem coraz trudniejszej sytuacji gospodarczej i politycznej na rozdartych zaborami ziemiach. Wysoki przyrost naturalny przy jednoczesnej niemożności wchłonięcia szukających zarobku zarówno przez majątki ziemskie, jak też przez miasta, wysokie podatki, dzielenie gospodarstw chłopskich na coraz mniejsze a także obawa przed służbą wojskową w armiach zaborców — wszystko to sprawiło, że wyjazd z Polski stawał się jedyną nadzieją na polepszenie życia.

Pierwsza szesnastoosobowa zorganizowana grupa Polaków przybyła do stanu Santa Catarina w roku 1869, druga — licząca tyle samo osób — w rok później. Obie pochodziły ze wsi Siolkowice pod Opolem w zaborze pruskim, dlatego uznano je za niemieckie i osiedlono między „rodakami” — Niemcami na opuszczonej przez Irlandczyków, nieurodzajnej ziemi. Narażeni na germanizację i ciągłe szykany ze strony sąsiadów, skarżyli się Polacy na swój los mieszkającym w pobliżu rodakom: Sebastianowi Wosiowi i księdzu Antoniemu Zielińskiemu.

Sebastian Woś, występujący w Brazylii pod nazwiskiem Edmunda Saperskiego, zbiegł przed służbą w wojsku pruskim najpierw do zaboru rosyjskiego, a następnie na statku „Emma” przybył do Ameryki Południowej. Ksiądz Antoni Zieliński ze Lwowa był najpierw kapłanem wojsk strzegących w Meksyku narzuconego temu krajowi cesarza Maksymiliana (brata Franciszka Józefa), a po jego śmierci — poprzez Stany Zjednoczone uszedł do Brazylii. Obaj znali biedę polskich chłopów, a widząc dostatek życia kolonistów niemieckich na terenie Brazylii, wystąpili do cesarza Pedro II w roku 1869 o wyrażenie zgody na osiedlenie się na podobnych warunkach Polaków. Jako teren kolonii wybrali rejon Palmeira i górny bieg rzeki Iguaçú w Paranie, znane z łagodnego klimatu i urodzajnej gleby. Po tajemniczym zniknięciu księdza Zielińskiego, na którym prawdopodobnie odwet wzięli niemieccy koloniści, Woś-Saperski, czekając na odpowiedź monarchy, umożliwił Polakom z Santa Catarina przeniesienie się do stanu Parana i założenie osady Piłarsinho, a niedługo potem osady Abranches. Był to rok 1871, uznany powszechnie za początek osadnictwa polskiego w Brazylii.

Po uzyskaniu zgody monarchy na sprowadzenie polskich kolonistów Woś-Saperski nie ustaje w działaniach. Zdobywa zawód mierniczego i przez blisko 40 lat wytycza działki emigrantom z kraju, pracuje przy budowie linii kolejowej Kurytyba — port Pa-

Dokończenie na str. 6

## Wiersze Włodzimierza Wysockiego

### Stary dom na Arbacie

Stal ten dom, wszystkim mieszkańcom znajomy,  
Jeszcze go tutaj zastał Napoleon.  
Ale oto naznaczono go do rozbiórki,  
Mieszkańcy dawno z niego wyjechali,  
Ale póki co, dom stał.  
Zimno, zimno, zimno w domu.

Frontowego wejścia dawno nie otwierano,  
Chłopaczki okna już wybiłi  
I tynk wszędzie osypał się,  
Ale coś jednak w tym domu zostało  
Na drugim piętrze,  
Jęczało, stękało, hukalo w domu.

I dzieci często skarżyły się mamie  
I obchodzily bokiem ten dom.  
Z innych domów, podwórek,  
Uzbrojeni w łopaty i łomy,  
Weszli tutaj gromadą  
Dozorcy, dozorczy, dozorczy. Cicho!

Oni stoją i nie wierzą,  
Uciekają, lęku nie tając —  
Napoleona duch tu unosi się,  
A może to po prostu  
Halucynacja?  
Straszno, straszno, straszno dozorcóm.

Ale w końcu rozporządzenie wyszło  
I oto robotnik — ten, który dom rozbierał —  
Uderzył jednym zamachem ciężarkiem po  
dachu.

A potem klął się na wszystko, że niby słyszał,  
Jak ktoś zajęczał  
Załośnie, załośnie, załośnie w domu.

Ze strachu już dzieci nie trzęsą się,  
Nie ma domu, co dwa wieki istniał.  
I wkrótce według planu rekonstrukcji  
W górę dziesiątki pięter wzniosą się —  
Beton, szkło, metal.  
Będzie wesolo, pięknie, zdrowo.

### Na Bolszom Karietnom

Gdzie twoje siedemnaście lat?  
Na Bolszom Karietnom.  
Gdzie początek twych nieszczęść?  
Na Bolszom Karietnom.  
Gdzie twój pistolet?  
Na Bolszom Karietnom.  
A gdzie nie ma cię dziś?  
Na Bolszom Karietnom.

Czy pamiętasz, kolego, ten dom? —  
Nie, ty nie zapomnisz go!  
Ja twierdzą, że ten pół życia stracił,  
Kto na Bolszom Karietnom nie był.  
Jeszcze by tego brakowało!

Nosi on inną nazwę teraz,  
Wszystko tam po nowemu, wierz lub nie wierz,  
I gdzie byś był, i gdzie byś się przechadzał —  
I tak po Karietnom przejdiesz się.  
Musisz.

### Ej, kierowco, wiez na Butyrski Chutor

— Ej, kierowco, wiez w Butyrski Chutor,  
Gdzie więzienie, no prędzej mknij.  
— A ty, koleś, spóźniłeś się, widzę,  
Przejechałeś gdzieś dobrych latek dwa,  
Rozebrali na cegły więzienie.

— Szkoda, dziś wczesnym rankiem  
Po „znajomych” postanowiłem przejechać się  
miejscach.  
No, dobrze, cóż, kierowco, tak więc wiez mnie  
na Tagankę,

Popatrzę, przecież bywałem i tam,  
— Zburzyli starą Tagankę,  
Do czysta, do wszystkich ścianów.  
— Cóż, kierowco, kręć, obracaj swoją  
kierownicę,  
My bez niczego rozjedziemy się do domów.

Poczekaj, dalej, najpierw zapalimy  
Albo lepiej — wypijemy raczej.  
Pijmy za to, żeby nie było w Rosji więcej  
więzień,  
Żeby w Rosji nie było obozów.

Tłumaczyła Aleksandra Kowal  
(przekład filologiczny)

# O BATUSZKĘ KTÓRY LALAK PTAKIEM

4

Zbigniew Adriański

**B**YŁO, minęło. Rozpamiętywać nie ma co. Czas i tak wszystko zatrze. A od myślenia głowa puchnie. Słowo honoru, że puchnie! Znałem ją — na przykład — kiedyś szewca... Znakomity to był fachowiec, ale co z tego! Myśliciel i wyznawca teorii Darwina. Jak chciał, to zrobił takie buty, że dziś ze świnią szukać. Mięciutki, wygodne kurdybanki... Powiadam wam, cudo nie buty! W takich butach całe życie przejdiesz i nie zedra się. I wygląd mają! I polysk! Słowem: artysta! Zazdrościli mu wszyscy tego fachu, a już najwięcej to ja sam zazdrościłem, bo żadnego wykształcenia w młodości swojej nie zdobyłem, a teraz to i tak za późno. Ale, bywało, zajdę na robotę mojego znajomka popatrzeć, a ten siedzi nad kopytem zgłębiony w palak; tyle, że w kopyto nie stukną, a gapi się w okno i myśli.

— Dzień dobry — mówię. — Jak się żyje? Co słychać?

A ten mi nie odpowiada, tylko myśli. Przyszyciałem się do tego i nie obrażam, niech myśli. Siadam w kącie, do piecyka suchych szczap podrzucę i czekam. A ten myśli... Wreszcie i moja cierpliwość ma granice. Więc mówię:

— I o czym ty tak myślisz Grzegorzu?

A ten mi na to:

— Wiesz co, Mikołaju? Porządny z ciebie człowiek, a też ród swój od małpy wywodzisz.

— Jak to od małpy? — pytam zaciekawiony. — Jak do tego doszedłeś, bracie? Wytłumacz.

— Ano, zwyczajnie. Sam do tego doszedłem — powiada — ludzi obserwując. Jak widzisz, okienko mam nieduże, ale sporo przez nie zobaczyć można. Trzeba tylko umieć popatrzeć. Przysuń się do mnie, bracie małpoludzie, i patrz.

— To ty również, Grzegorzu, od małpy pochodzisz?

— A cóżes myślał — powiada z niezadowolaniem Grzegorz. — Wszyscyśmy z jednego drzewa, bracie, i nie ma co udawać, że ktoś jest lepszy lub gorszy. Proszę cię jednak, nie przeszkadzaj mi pytaniami, tylko patrz. Oto, widzisz, sąsiad mój z naprzeciwka, rzeźnik, na spacer z żoną idzie. Małpa to czy nie małpa? Pomyśl intensywnie. No, co wymyśliłeś? — pyta mnie Grzegorz.

— Chyba małpa — odpowiadam niepewnie.

— Ale dlaczego? — nalega Grzegorz. — Widzisz — nie wiesz! Bo nie myślisz. Brak ci wyobraźni. A teraz popatrz. Jak stąpa ten mój sąsiad, jak się giba w tych swoich butach, które mu na obstatunek zrobiłem. Szkoda mojej pracy, bracie! Takie mu i buty pazurów nie zakryją. Koślawiec! Niedawno z drzewa zszedł. Albo jego żona?! Czyż to nie małpizjon z wydeptym zadkiem? Małpizjon wyjątkowy. A tu masz jeszcze lepszy przykładzik! Nasz posterunkowy z mandacikami na jarmark sunie. Popatrz na ten kadłubek małpoluda, na te rączki do iskania się przyzwyczajone! Sam go w łaźni obserwowałem. Obrzydzenie, powiadam ci, bierze.

— Żadnego ty szacunku dla władzy nie masz —

westchnąłem, choć to patrzenie z okienka szewskiej auterony coraz bardziej mi się podobało.

— A władza, bracie, od kogo pochodzi? Czyżby również od małpy?

— Ty nie prowokuj — surowo powiedział Grzegorz — ty patrz lepiej i sam włoski wyciągaj. Oto, widzisz, następny przykład. Osobnik znany ci zapewne i powszechnie szanowany. Ale dzisiaj spili się... I wyszła jego prawdziwa natura. Nie trzeba wiele myśleć nad postawieniem diagnozy. Małpolud i basta!

— Wiesz co, Grzegorzu — powiedziałem zirytowany — w twojej teorii są jednak lukki. Każdemu może się zdarzyć chwila słabości. Tobie i mnie nie przymierzając. A ty zaraz — małpa! Małpolud! Spili się! Znam go nie od dziś i ty znasz go dobrze. Człowiek jest to godny, szlachetny, na stanowisku. Jakoś mi on do twojej teorii nie pasuje.

— Oponować możesz, ale racji nie masz — powiada myśliciel. — Zresztą małpa małpie nie równa, choć to się może komuś nie podobać. Byłaś ty, na przykład, w zwierzyńcu?

— Nie byłem — odpowiadam zgodnie z prawdą.

— A widzisz! — triumfuje Grzegorz. — No, a ja byłem! I stwierdzam, że małpa małpie nie równa. Nie ma tu, bracie, żadnej demokracji. Co innego bowiem goryl, co innego szympana czy pawian. Są to bracie różne gatunki małp. A jednym z tych gatunków jest człowiek...

No i gadaj z takim! Pewnego dnia zachodzę, jak zwykle, do mego znajomka przez okienko popatrzeć, a ten wzburzony jakiś i nieswój.

— Mikołaju — powiada — w głowie mi się męci od tego myślenia. Leż mam jakby napuchnięty. Przypatrz mi się i oceń. Napuchnięty czy nie?

— Chyba napuchnięty — powiedziałem, po uważnym obejrzeniu. — Rzeczywiście napuchnięty!

— Za dużo teorii w nim się klebi — poskarżył się Grzegorz. — Szewstwo, bracie, to nie dla mnie. Do wyższych celów jestem stworzony. Muszę ja gdzieś stąd wyjechać. Muszę innych ludzi poznać. Może nie wszędzie ludzie są do małp podobni...

— Nie rób głupstw, Grzegorzu — powiedziałem. — Ludzie wszędzie są jednaki, choć pozornie wydają się różni. Tylko błędy sobie napędzisz i różnicę swoją zrujnujesz. Za daleko cię twoje myśli prowadzą. Już lepiej trzymaj się szewstwa.

— Ale gdzie tam! Grzegorz warsztat w trzy dni zwinał, z rodziną się pożegnał i już nie wrócił. Później nikt nie wiedział o jego losach aż do chwili, gdy przyszło oficjalne zawiadomienie od władz, że taki to a taki, urodzony w naszym miasteczku szewc, zmarł z głodu i wycieńczenia daleko stąd. Do pisemka załączona była fotografia zmarłego. Wierście mi — wstrząsający to był obraz. Zobaczyłem ludzkie ciało suche i cienkie jak patyk, na którym tkwiła osadzona głowa, wzdęta jak balon lub dynia. I po tej głowie tylko go poznałem.

— Historyjkę twojej wysłuchaliśmy z zainteresowaniem — powiedział Małymicz. — Do czego jed-

nak zmierzasz? Wszystko musi mieć swój jakiś początek i koniec. A w twojej opowieści początek może i jest, ale koniec wydaje mi się, wybacz, zbyt tragiczny. Chyba, że tak chciałeś, wobec tego lepiej wypijmy po kieliszeczku i nie zastanawiajmy się dłużej nad tym.

— Wypić zawsze można, czemu nie? — Wypiliśmy, ale czuję, że Małymicz pod słowem leciutko butem małe trąca i na Igora Iwanowicza kątem oka zezuje. Domyśliłem się też zaraz, że specjalnie tak mnie podsumował, żeby batuszkę naszego do dyskussji wciągnąć. Ale gdzie tam! Prózne starania. Igor Iwanowicz niby siedzi z nami, niby pije, lecz myślami jest nieobecny.

I o czym ty tak myślisz, batuszka nasz?... Myślisz i myślisz niczym mój szewc. Umiaru w tym żadnego nie macie. A umiar w myśleniu rzecz najważniejsza. Powiadam ci, Igorze Iwanowiczu, umiar to najważniejsza sztuka. Uwierz mnie, starem. Zastanów się i powiedz sam, czy nie mam racji? Może jestem, twoim zdaniem, głupi i nieuczony, ale to i owo wiem i niejedno przeżyłem. Rozumiem ciebie trochę nawet, ale tak w ogóle to nie można! Ot siedzisz ty, batuszka nasz, Igor Iwanowicz, od pewnego czasu kwaśny i zadumany. Nic cię nie cieszy. Niczego ci się nie chce. Myślisz... Mózg swój nadwężasz. No i po co ci to?... Albo to ci czegoś brak? Przysnaj z ręką na sercu. W zasadzie nie brak ci niczego. Parafię masz nie najgorszą; pewnie, że lepsze bywają, ale zdarzają się również gorsze niż nasza. Ludzie cię tu szanują, Igorze Iwanowiczu, i lubią. Mimo wszystko żyjesz dostatnio i kulturalnie z żoną swoją, Jewdokią Iwanowną, której niejedną ci zazdrości. A ty nawet dla niej jesteś grubianin. O nas już zresztą nie chodzi, ale dla niej jesteś grubianin! No, popatrz, jak przymila się do ciebie, ta twoja Jedwokia Iwanowna, jak grucha, niczym synogarlica, jaką szczęśliwa, że cię ma przy sobie... Stanowczo baborn niewiele do szczęścia potrzeba! I zastanów się jeszcze, że nie najgorzej wyszedłeś na tym swoim ożenku... Jewdokia Iwanowna powabnie wygląda, smacznie gotuje. A ty nawet nie pochwalisz. Pochwal ją, Igorze Iwanowiczu! Skosztuj, jaki żur przygotowała, jaki kołacz upiekła i jak czeka na twoje pochlebstwo. Wiesz co? Powiem ci szczerze! Może jesteś młody, uczony i idealista — ale na gotowaniu zupełnie się nie znasz. Oświadczam ci, że robisz, że jej nie chwalisz... Albo co się tyczy przyjaźni! Przyszliśmy do ciebie, żeby choć trochę ciebie od tych twoich myśli odciągnąć. Rozerwać. Pożmiał się z tobą. A ty gitarę weźmiesz, parę akordów zabrzędasz i — jakiś nieswój — zaraz ją odkładasz. Pośpiewaj z nami, Igorze Iwanowiczu. Małymicz fałset swój już nastroił. Ja też basem chętnie zawtóruję. Przyjemnie jest tak w zimowy wieczór pośpiewać. I serdecznie. Nie wiem, jak dla kogo, ale muzyka to dla mnie najmądrzejszy wynalazek. A już szczególnie pieśń chóralna. Mądry to był człowiek, który pierwszy wpadł na to, że pośpiewać można... I popatrzcie! Nie ma żadnego nawet pomnika. Różne pomniki bywają, lepsze i gorsze, różnych ludzi na piedestale postawiono, a człowiek, który pierwszy śpiew wynalazł, pomnika nie ma. Niedopatrznie jakiegoś czy co? No to może jednak zaśpiewamy coś, Igorze Iwanowiczu — chciałem powiedzieć głośno. Ale nie powiedziałem nic. W ogóle nic nie powiedziałem, choć dużo łubie gadać. Siedziałem tylko w kącie, piłem nalewkę domowej roboty Jewdoki Iwanownej i patrzyłem na naszego batuszkę.

A batuszka nasz prawosławny, Igor Iwanowicz, niby był z nami razem, niby siedział przy stole, pił tę samą nalewkę domowej roboty, ale myślami był nieobecny.

Batuszka nasz prawosławny, Igor Iwanowicz Bułyciński, wielki miłośnik i znawca safianowych butów, tudzież pięknych kobiet, nadal — jestem tego pewny — lalak... ptakiem.

## Polacy w Brazylii

Dokończenie ze str. 5

ranagua, uczestniczy w tzw. Sejmie Polskim, mającym na celu założenie Polskiego Związku Narodowego na Ameryce Południowej. Współpracuje równocześnie z wydawanym we Lwowie „Przeglądem Emigracyjnym”, zdobywa mandat posła do Kongresu Parańskiego, zostaje wreszcie Komisarzem Rolnym (jest to stanowisko odpowiadające funkcji ministra rolnictwa) przy rządzie parańskim. Z pamiętnika, który pozostawił po sobie, badacz dziejów emigracji polskiej uzyskać mogą najpełniejsze informacje o pierwszych dziesięciu latach w Brazylii. Tego wątku na pozór człowieka cechuje niebywała energia i sprawność jemu zawdzięczać należy, że wokół Parany powstał łańcuch polskich

osad, kaplic i szkół, a pokryty dawniej dżunglą teren obrodził pszenicą, żytem i ziemniakami.

Nazwany „ojcem osadnictwa polskiego w Brazylii” Woś-Saporski zmarł w 1933 roku, pozostając w pamięci kolonistów człowiekiem wielkiej uczciwości i dobroci.

W Brazylii pierwsze transporty emigrantów, po długiej wyniszczającej podróży i pobycie w nędznych warunkach na wyspie w pobliżu Rio de Janeiro — jakby na ironie nazywanej Wyspą Kwiatów — kierowano do stanu São Paulo na plantacje kawowe. Tam jednak Polacy nie wytrzymywali długo; praca robotnika rolnego w wielkim majątku ziemskim nie była kusząca. I o ile Portugalczyk czy Włoch, rozczarowany harówką na fazendzie, porzucał pracodawcę i udawał się do miasta, gdzie próbował szczęścia w rzemiośle i handlu, a czę-

sto zdobywał skrzynkę i czyścił buty przechodniom, o tyle polski chłop marzył o własnej ziemi i gospodarstwie, szczególnie, że ci, którzy byli już na południu kraju, przekazywali wiadomości o ciężkiej, ale samodzielnej pracy na wielkich obszarach. Bowiem osiedlenie się na tych terenach nie wiązało się przede wszystkim z klimatem — jak się na ogół sądzi — ale właśnie z obfitością ziemi. „Będziesz miał koloniję, a zwłaszcza po waszemu gospodarstwo — pisano do kraju — a co się tyczy do ilości, to najmniej sto morgów”. I rzeczywiście, pierwsze działki polskich osadników liczyły od 20 do 25 ha, przy czym rodziny z dorastającymi synami dostawały po 2—3 działki.

Na początku swego pobytu pod Krzyżem Południa przechodzili Polacy bezmiar udręki. Odmienny klimat, przedłużający się pobyt w barakach, brud, nekające ich choroby, brak znajomości języka, nadużycia urzędników i na koniec groźna w swojej bliskości puszcza — zalaływały ludzi. Na przydzielonych działkach chłop polski wycinał drzewa i usiłował je spalić. Bezsłownie jednak. Ogromne sołny pinheiros — przez osadników zwane piniorami — butwały na ziemi przez kilkadziesiąt lat. Orka była niemożliwa, ziemia różniła się od tej, któ-

ra znali w Polsce. Dory roku inne. Najprościej byłoby wrócić, ale brak pieniędzy na podróż zatrzymywał na miejscu. Tę trudną walkę o przetrwanie, o ziemię i chleb — z dużym wyczuciem sytuacji i charakteru polskiego chłopca oddała Maria Konopnicka w „Panu Balcerze w Brazylii”:

Z okrutną w puszczy lud rzucił się mocą  
Ciąć one bory stojące z prawieka.  
Tylko te ręce, te serca dygotały,  
Tylko ta dusza w siekierę ucieka.  
[...]  
A był w tej wojnie pęd-taki i siła,  
Co i za bębny stał i za komendę.  
Bo tam z toporem razem dusza bita,  
Sama siekiera grzmiała tam: „Zdobę!”  
Bo nie wodzowi co pułki posyła,  
Lecz sobie naród zdobywał tam grzędę.  
Na której rósł miął.

(Dokończenie nastąpi)

Teresa Hrankowska

NA łamach polskiej prasy pojawiło się ostatnio sporo artykułów, których autorzy zastanawiali się, jaki jest — i jaki powinien być — stosunek Francji do Polski i Polaków.

Wygląda na to, że my, Polacy, czujemy jakąś nieodwzajemnioną miłość do Francji i Francuzów. Wynika to chyba z tego, że w ostatnich 200 latach — co najmniej od czasów Wielkiej Rewolucji francuskiej — wielokrotnie ratowaliśmy Francję z wielkich tarapatów, placąc na ogół za to najwyższą cenę. Mamy świadomość naszych ofiar dla „braci Francuzów” i bardzo chcielibyśmy, aby byli równie ofiarni dla nas.

Tymczasem analiza postawy Francji wobec naszego kraju właśnie w obu ostatnich stuleciach prowadzi do wniosku, że oficjalny Paryż — kolejne rządy sprawujące tam władzę — traktowały nasz kraj — przede wszystkim w ścisłym powiązaniu z własnymi stosunkami z Niemcami i Rosją. Ilekroć Niemcy bądź Rosja zagrażały Francji — tyle razy uruchamiano „polskiego sojusznika”, aby uchronić się przed śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Przykładów nie brakuje, wystarczy tu przytoczyć trzy okresy.

W 1792 roku to Polska, a nie zwycięska dla Francuzów bitwa pod Valmy uratowała Francję, kiedy armia pruska księcia Brunszwickiego maszerowała na Paryż. W rzeczywistości bowiem król pruski uznał za o wiele ważniejsze dla własnego państwa uczestnictwo w drugim rozbiórce Polski (walczyliśmy wtedy pod Zielenicami i Dubienką z armią carycy Katarzyny), niż przywrócenie władzy Ludwikowi XVI. Armia pruska zawróciła już spod Paryża — by pośpieszyć do Wielkopolski.

W 1830 roku Polacy, wywołując powstanie listopadowe, związali na blisko rok 150-tysięczną armię cara Mikołaja, gotową już do marszu na Francję, gdzie miała ona przywrócić upadłą dynastię burbońską. Kiedy wreszcie powstanie zostało stłumione, mianoło tyle czasu, że Mikołaj nie miał żadnych szans zrealizowania swych antyfrancuskich planów. Zresztą król Ludwik Filip doszedł już wcześniej do porozumienia z Rosją i jako dowód swej sympatii zablokował dostawy broni dla polskiego powstania.

Przykład 1939 roku jest powszechnie znany i nie ma potrzeby rozważać go w szczególności. I w tym wypadku Polska dała Francji wystarczająco dużo czasu, by ta — gdyby rzeczywiście chciała — mogła solidnie przygotować się do walki z Niemcami.

Niezależnie od poczucia wielkich ofiar, jakie w przeszłości ponieśliśmy dla Francuzów, my, Polacy, także świadomie jesteśmy bardzo ścisłych związków kulturalnych między Polską a Francją. To przecież w Paryżu parokrotnie chronili się polscy politycy po upadku powstania kościuszkowskiego, po upadku listopadowego i w 1939 roku, kiedy nie było już państwa polskiego. W Paryżu też, bez specjalnych zasług ze strony Francuzów, powstało niejedno z arcydzieł polskiej literatury i sztuki. Każdy Polak wie, że nad Sekwaną tworzyli Chopin, Mickiewicz, Słowacki, Żeromski i dziesiątki innych.

Tak więc, my, Polacy, zresztą ogromnie ciekawym światu, wdychamy do Francuzów i lokujemy ich bardzo wysoko w hierarchii narodów „zaprzykrzonych”, nie zdając sobie zupełnie sprawy, jaki jest stosunek Francji i Francuzów do nas.

Zaczniemy od tego, że francuskie społeczeństwo — i to niemal w całości, z bardzo nielicznymi wyjątkami — ma stosunek do zagranicy nacechowany z jednej strony — kompletnym lekceważeniem, a z drugiej — głęboką niewiedzą. Już w szkole wpaja się Francuzom, że są narodem wybitnym, wyrażnie górującym nad innymi. Nic więc dziwnego, że typowy Francuz lekceważy cudzoziemca, wysmiewa się z niego, przekonany że sam stoi znacznie wyżej od obcokrajowców.

O Belgach opowiada się „belgijskie kawały”, w których nieszczęśliwi Belgowie przedstawiani są jako idioci na granicy kretynizmu. Niemców Francuzi nie lubią nazywając ich „boches” i wystarczy byle jaki incydent na stadionie piłkarskim, jakiegoś potrącenia francuskiego gracza przez piłkarza z RFN, aby ta niechęć ujawniła się z całą siłą. Trzeba zresztą przyznać, że Francuzi mają ku temu istotne powody — w ostatnich 120 latach aż trzy razy padali ofiarą niemieckiej agresji. O Włoszech bardzo często mówi się we

Francji jako o kraju mafii, politycznych kombinacji i prostytucji. Hiszpanie uchodzą za synonim głupoty i nieporadności do tego stopnia, że jeśli ktoś ile mówi po francusku, to porównuje się go do „hiszpańskiej krowy”. Francuzi nie cierpią także Amerykanów, których nazywają Jankesami. Przysłali się do nich natomiast wówczas, kiedy rośnie we Francji poczucie zagrożenia. Niemniej jednak nastroje antyamerykańskie są bardzo silne, zwłaszcza wśród drobnej burżuazji. Brazylijki to dla Francuzów synonim prostytutek, zwłaszcza w okresie karnawału w Rio. Nie ma co mówić o Arabach — i to ze wszystkich krajów arabskich. Tu dochodzi jeszcze poczucie pewnej niższości, skoro Francja przegrała wojnę w Algierii.

Na tym tle, w porównaniu z innymi narodami Polacy plasują się w „górnym partiach stanów średnich”. Wprawdzie nie cieszymy się we Francji jakąś specjalną popularnością — do której ogromnie wdychamy — ale też nie uważa się nas ani za głupców, ani za pospolitych przestępców, jak to jest ze stosunkiem Francuzów do wielu innych narodów.

Co więcej, wśród sympatyków skrajnie prawicowego Frontu Narodowego, który domaga się usunięcia imigrantów, pojawiła się teza, że Francja popelnia kolosalny błąd, nie przyjmując na swe terytorium Polaków, którzy emigrowali w latach 1980—1986. Niektórzy z działaczy tego frontu doszli do wniosku, że gdyby przed paru laty Francja przyjęła pół miliona Polaków, to można by usunąć tyle samo Arabów — albo więcej — a Polacy łatwo zintegrowaliby się we francuskim społeczeństwie w ciągu jednego czy dwu pokoleń, tak jak to stało się z potomkami polskich górników z lat dwudziestych i trzydziestych.

Wiedza przeciętnego Francuza o Polsce i Polakach jest wręcz żalosna i to oczywiście stwarza możliwości wypisywania bredni o naszym kraju. Oto kilka przykładów — bynajmniej nie skrajnych.

W roku ubiegłym jeden z polskich ministrów składał wizytę we Francji i był gościem ministra handlu zagranicznego Michela Noira. Osobista sekretarka Noira, witając naszego ministra, chciała przygotować dlań „badge” z imieniem i nazwiskiem. Próbowała to zrobić, wreszcie dała za wygraną i polski minister musiał sam wypisać swe nazwisko. Zdumienie sekretarki było bezbrzeżne: „Byłam przekonana, że wasze nazwiska — tak jak arabskie — pisze się z prawej strony na lewo”. Oświadczyła to osobista sekretarka ministra, który z racji swych funkcji ma promować stosunki Francji z innymi krajami.

Wielokrotnie zdarza się, że życzliwy nam Francuz, chcąc popisać się swą wiedzą o naszym kraju, mówi, że „stolicą Polski jest Bukareszt”. Kiedy zaprzeczamy — poprawia się natychmiast: „ach, tak, wiem, to przecież Budapeszt”.

Ten stan głębokiej niewiedzy o Polsce — jak również o innych krajach, bowiem wcale nie jesteśmy tu w gorszej sytuacji — był możliwy bezkarnie jeszcze do niedawna. Od paru lat sytuacja zaczęła się jednak zmieniać, co jest rzeczywiście wynikiem bardzo ostrej konkurencji międzynarodowej. W 1992 roku mają być zniesione wszelkie granice w obrębie Wspólnego Rynku i wówczas zadufani w sobie Francuzi, nie mający pojęcia o tym, czym jest zagranica, będą musieli rozpaczyliwie stawić czoła lepiej od nich przygotowanemu Niemcom, Anglikom, Włochom, a nawet Hiszpanom. Wówczas sami nauczą się nie tylko, gdzie leży Warszawa, ale także gdzie znajdują się inne miasta Polski. Jeśli tego nie uczynią, przegrają bezpowrotnie w konkurencji z innymi krajami.

O ile francuskie społeczeństwo traktuje nas na ogół z obojętnością, to inaczej jest z francuskimi politykami. W ostatnich latach, ściśle od 1980 r., a jeszcze bardziej od grudnia 1981 r., Polska była przedmiotem gwałtownych ataków ze strony różnych francuskich

partii politycznych i niemal całej prasy. Nie było to żadne „zapotrzebowanie społeczne”, bo — jak już była mowa — Francuzi na ogół z kompletną obojętnością odnosili się do wydarzeń w naszym kraju. Nie jest wcale prawdą, że czuli jakąś specjalną sympatię do „Solidarności”.

Ta antypolska kampania ostatnich lat miała kilka powodów.

1) Najbardziej zaangażowała się w niej Partia Socjalistyczna, która dążyła po prostu do rozbitcia Partii Komunistycznej i odebrania jej paru milionów wyborców. Zapowiedział to odebranie Francois Mitterrand jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych, Socjaliści wykorzystali wydarzenie w Polsce jako pretekst do skompromitowania FPK, do wykazania, że w krajach realnego socjalizmu nie da się żyć, a przeciw FPK chce udowodnić „taki właśnie socjalizm”. Trzeba powiedzieć, że socjalistom udało się ich operacja. W 1978 roku w czasie wyborów parlamentarnych FPK miała poparcie 20 proc. wyborców. W 1981 roku jej kandydat Georges Marchais zebrał już tylko 15 procent. W marcu 1986 roku w kolejnych wyborach parlamentarnych na

4) Jest jednak jeszcze jeden powód antypolskiej kampanii. Europa Zachodnia bardzo chce się zintegrować i przekształcić Wspólny Rynek w jednolity organizm polityczny. Nie można jednak tego w pełni dokonać bez rozliczenia się z problemem odpowiedzialności Niemców za zagładę ludności żydowskiej w latach drugiej wojny światowej. Próbuje się oczywiście lansować tezę, że „sa to już inne Niemcy” albo że „pokolenie hitlerowców schodzi z tego świata”. Równocześnie jednak pojawia się inna teza, a mianowicie — że „współodpowiedzialni za zagładę Żydów są też Polacy”. Tym samym Niemcy mają ponosić tylko „część odpowiedzialności”, przy czym ma to dotyczyć jedynie bardzo aktywnych hitlerowców — esesmanów, gestapo i wyższych funkcjonariuszy NSDAP.

Tu przyczyny antypolskiej kampanii nie zanikły — należy liczyć się z dalszym podejmowaniem takich prób szkolenia Polski i Polaków. W przypadku Francji jest to tym bardziej prawdopodobne, że od kilku lat bardzo silna w tym kraju jest skrajna prawica. To właśnie Front Narodowy popiera wszelkie próby „rewidowania historii” w ro-

## Czy Francuzi lubią Polaków?

Robert Bielecki

komunistów padło zaledwie 10 procent głosów. Teraz kandydat FPK w wyborach prezydenckich, Andre Lajoine, może liczyć na 7, a w najlepszym wypadku 8 procent głosów. Tak więc, w wyniku działań socjalistów, Francuska Partia Komunistyczna spadła do rangi ugrupowania drugiej kategorii. Kiedyś była najsilniejszą partią, dziś zajmuje dopiero piątą pozycję i niewiele już liczy się w życiu politycznym. Dominującą pozycję na lewicy mają socjaliści — cel, jaki stawiał sobie Mitterrand, został spełniony.

Tym właśnie należy przede wszystkim tłumaczyć, że od pewnego czasu Partia Socjalistyczna z związana z nią prasa osłabiły czy nawet w pewnych okresach wyciszyły ataki antypolskie. Kampania antypolska nie jest już potrzebna, bo komuniści nie zagrażają socjalistom. Sama sytuacja Polski nie ma dla socjalistów większego znaczenia.

2) Nie jest sprawą przypadku, że kampania antypolska zaczęła się niemalże z początkiem wojny w Afganistanie. Dla francuskich partii mieszczańskich — zarówno dla gaullistów, jak też centrystów — celem takiej kampanii stało się utrzymanie w Polsce stanu niepokoju niejako według klasycznej recepty z minionych dwu stuleci.

Zapowiedź wycofania wojsk radzieckich z Afganistanu i podpisanie porozumienia w Genewie — co Francja przyjęła z niewątpliwym zadowoleniem — powoduje, że i w tym wypadku ustaje podstawowy powód dalszego prowadzenia antypolskiej kampanii.

3) W ostatnich latach walka o władzę między francuską lewicą a prawicą była szczególnie ostra. W 1981 roku lewica powróciła do władzy po ćwierćwiekowej przerwie. Partie mieszczańskie chciały jak najszybciej odzyskać rządzą krajem, a lewica zamierzała jak najdłużej utrzymać się u władzy. Stąd też obie strony, zarówno lewica jak też prawica, zabiegały o poparcie konkretnych grup francuskiego społeczeństwa.

Jedną z takich grup, i to bardzo liczących się, jest blisko dwa miliony Francuzów pochodzenia żydowskiego. Właśnie w nadziei pozyskania tych wyborców podjęto antypolską kampanię, zarzucając nam „wrodzony antysemityzm”. Pamiętamy sprzed dwu czy trzech lat, jaką oprawę propagandową we Francji nadano filmowi Claude Lanzmana „Shoah”.

Dziś sytuacja wygląda już inaczej, bo z jednej strony — Polska potrafiła znaleźć drogi porozumienia ze społecznością żydowską świata zachodniego, a z drugiej — głównym problemem, który niepokoi — wręcz przeraża — Francuzów żydowskiego pochodzenia, jest sama przyszłość Izraela. W obliczu tego, co dzieje się na okupowanych ziemiach arabskich, powracanie do tez o „polskim antysemityzmie” już mało kogo interesuje.

dzią tuż Henri Roquesa, który stwierdził, że „nie było komór gazowych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych”. Pocieszając jest jednak to, że w walce ze skrajną prawicą, z owymi faszystującymi członkami Frontu Narodowego, Polska ma sojusznika w dość licznych organizacjach żydowskich, a ponadto nie w pewnych politykach centrowych.

Obserwując to, co dzieje się we Francji w ostatnich paru miesiącach, można stwierdzić, że kampania antypolska wyraźnie osłabła. Jest wielce charakterystyczne, że podczas ostatniej kampanii wyborczej ani razu nie został podjęty „temat polski”, i to przez żadnego z kandydatów. Były oczywiście antypolskie artykuły czy reportaże telewizyjne, ale ich autorzy łączyli to z bieżącymi wydarzeniami w Polsce — np. podwyżką cen — a nie z samą kampanią prezydencką.

Mozna więc powiedzieć, że ta antypolskość została zamrożona że nie stanowi już priorytetu działań niechętnych nam do niedawna partii politycznych. Niemniej — nie ma co ukrywać — we francuskim społeczeństwie pokutuje bardzo niedobry obraz naszego kraju, wytworzony w wyniku antypolskiej kampanii ostatnich paru lat. Taki obraz nie może zaniknąć od razu, musi upłynąć sporo czasu, aż zatrze się w pamięci, aż stopniowo zostanie wyparty przez pozytywne opinie.

Jest rzeczą charakterystyczną, że tu i ówdzie dokonuje się zmiana w postawie pewnych dzienników i tygodników. W sytuacji, gdy przez całe lata bardzo źle pisano o Polsce, do rana niemal „aktu odwagi” urasta napisanie artykułu pozytywnego o naszym kraju. A mimo to takie artykuły pojawiają się — chociażby na łamach LE MONDE, gdzie korespondent tego dziennika, Bernard Guetta (swego czasu zresztą zaciekłe atakujący Polskę) zwracał uwagę na głębokie podziały w polskiej opinii. Ten jego artykuł wywołał zresztą pełną niezadowolonia replikę paryskich pism związanych z „Solidarnością”. Świadczy to wymownie o zmianie postawy niektórych organów prasy francuskiej.

Co więcej, niektórzy politycy nie boją się już wypowiadać bardzo pozytywnie o naszym kraju. Dla przykładu, były prezydent Valery Giscard d'Estaing, w audycji telewizyjnej oglądanej przez parę milionów ludzi, gorąco poparł projekt „nowego Planu Marshalla dla krajów Europy Wschodniej”, z jakim wystąpił Carlo de Benedetti. Jako kraj, który w pierwszej kolejności powinien korzystać z takiego planu, Giscard wymienił Polskę. Nie czynił tego oczywiście z jakichś szczególnych sympatii dla Polski — choć niewątpliwie jej ma — ale w imię dobrze pojętego francuskiego interesu narodowego.

**W** ROZLEGŁYCH przestrzeniach między Moskwą a Waszyngtonem coraz żywiej krąży idea, pieniądza, technologie i generalnie inspekcji.

Radujemy się z tego powodu.

Ostatnio na owej trasie pojawiła się londyńska firma aukcyjna Sotheby, założona w 1744 roku. Jej agendy znajdują się poza granicami Wielkiej Brytanii, między innymi w Nowym Jorku, handlując wszystkim, co uznaje się za sztukę: dawną i współczesną.

Ale jaki interes może mieć Sotheby w Związku Radzieckim? Z nadwiślańskiego punktu widzenia, strzywnionego na sposób okcydentalny, lipcową wyprawą firmy do tego kraju zdaje się być przedsięwzięciem dziwańskim, czymś w rodzaju nowej wersji amerykańsko-chińskiej „dyplomacji pinzpongowej”, ewentualnie rezultatem pomyłki geograficznej. Jesteśmy przecież przekonani, że pepek żywej sztuki środkowo- i wschodnioeuropejskiej znajduje się w Polsce. Świadczy o tym choćby warszawska wystawa „Arsenal 88”, którą podobno zainteresowało się nawet paryskie Centre Pompidou...

Tymczasem jednak Sotheby przywiodła do Moskwy niemal stu zachodnich dealerów, artystów, krytyków i historyków sztuki, którzy przez dni kilka lub kilkanaście (do wyboru) zwiedzali stolicę, Leningrad, Zagorsk, brali udział w seminariach, aukcji i innych zajęciach ujętych w programie, przygotowanym przez firmę wspólnie z Ministerstwem Kultury ZSRR. Sporo kosztowały te przyjemności: amator dziesięciodniowej wycieczki musiał zapłacić 7000 dolarów, oczywiście z własnej kieszeni, nie licząc waluty wyłożonej podczas aukcji, na którą wystawiono dzieła klasyków awangardy i współczesnych artystów radzieckich.

Wiadomo, zaciekawienie Zachodu Krajem Rad jest dziś ogromne, proporcjonalne do niewiedzy i pomieszenia pojęć, jakie w odniesieniu do tego państwa manifestują przeciętni turyści amerykańscy czy angielscy, ze zdumieniem stwierdzający nieobecność niedźwiedzi w rubaśkach na Placu Czerwonym. Grupa Sotheby też się dziwiła, przecierając oczy na widok rozmiarów i komfortu hotelu „Międzynarodowy” w Moskwie, gdzie przyszło jej mieszkać i pochłaniać kawior, którego pół kilograma kosztuje w Nowym Jorku 500 dolarów, zatem znacznie więcej niż w Rosji. Inna sprawa, że ceny potraw, usług i tym podobnych przyjemności, jakimi uraczono zachodnich gości hotelu, okazały się niepokojąco zbliżone do tych, które obowiązują np. w nowojorskim „Plaza” czy w paryskim „Ritzu”. Miłośników sztuki radzieckiej zaskoczyły ponadto liczne drużyny efektywnie umundurowanych portierów, broniących tubylcom dostępu do „Międzynarodowego”.

Pod jednym wszakże względem grupa Sotheby odróżniała się od turystycznych standardów poznawczych: dobrą znajomością dziejów i dokonań rosyjskiej oraz radzieckiej awangardy artystycznej, która waleńnie przyoczyła się do określenia tzw. nowoczesnych paradigmatów sztuki, aktualnych w świecie jeszcze w początkach lat siedemdziesiątych, a i dzisiaj mających zagorzałych zwolenników. Co prawda konstruowali, bo o nich głównie chodzi, zostali wykłedci (1932 r.) przez oficjalną politykę kulturalną, ich dzieła uległy rozproszeniu lub popadły w mrok magazynów muzealnych, ale idee tej formacji nigdy nie utraciły żywotności — przynajmniej w kulturze Zachodu, gdzie swego czasu trafiło sporo obrazów i rzeźb radzieckiej awangardy, a nawet pojedynczy jej twórcy. Długo nie zdawano sobie tam jednak sprawy, jakie wartości kryją muzealne „zapasniki” Leningradu czy Moskwy.

Pierwsze informacje na ten temat przyniósł obszerny, liczący 11 stron artykuł Aleksandra Marshacka „Sztuka rosyjska... której nikt nie ogląda”, opublikowany przez „Life” w roku 1960. Jak zauważyła Charlotte Douglas na łamach „Art in America” (kwiecień 1987), tekst Marshacka pobudził „wschodnie apetyty” środowisk zachodnich, które jednak dopiero kilkanaście lat później (1979) zostały częściowo zaspokojone dzięki głośnej wystawie „Paryż — Moskwa” w Centre Pompidou, gdzie pokazano m.in. dzieła konstruktivistów, przetrzymywane dotąd w magazynach muzeów radzieckich. Wkrótce potem, poczynając od roku 1980, Rosjanie skierowali w świat cykl ekspozycji pod wspólnym tytułem „Sztuka i rewolucja”, które oglądano np. w Tokio i Wiedniu, a pod inną nazwą — także w Warszawie i Wrocławiu (1982).

Równocześnie, powolutku i fragmentarycznie, muzea radzieckie wystawiały prace awangardy przed własną publicznością. Jeden z pierwszych a może w ogóle pierwszy taki pokaz urządziło Państwowe Muzeum Rosyjskie w Leningradzie, oferując widowną okładki książki, zaprojektowane przez artystów rosyjskich początku XX wieku. Spóźniłem się na wystawę, ale na otarcie łez otrzymałem od dyrekcji muzeum rzetelnie przygotowany katalog ekspozycji, w którym znalazłem m.in. takie nazwiska wybitnych malarzy i grafików, jak Larionow, Filonow, Lisicki, Malewicz, Rodczenko, Tatlin, Stenberg...

Było to w roku 1977, zatem długo przed pierestrojką, o czym warto wiedzieć.

„Nowe myślenie” przyspieszyło oczywiście proces rehabilitacji awangardy. Dość wspomnieć, że najważniejsza wystawa z cyklu „Sztuka i rewolucja” nie musiała już szukać alibi wśród zagranicznej publiczności, lecz odbyła się w moskiewskiej Galerii Trietiakowskijskiej (1987), gromadząc 160 obrazów z lat 1917—1937, trochę plakatów i rzeźb

oraz okazały zbiór katalogów i dokumentów archiwalnych. Wśród plócien malarskich, autoryzowanych przez 114 artystów, przeważały te, które powstały w drugiej dekadzie naszego wieku, zatem w okresie bujnego rozwoju konstruktivismu.

W tymże roku, dokładnie 19 stycznia, otwarto w Leningradzie wystawę „Malarstwo i sztuka dekoracyjna z rezerw Państwowego Muzeum Rosyjskiego”. Cytowana pani Douglas uznała ów tytuł za „niebywale lakoniczny”, jako że pod takim szydem pokazano ponad 150 prac awangardy, które skrywane dotychczas przed okiem widza. Sam zresztą próbowałem kiedyś do nich dotrzeć, lecz moje próby skwitowano oddalającym prośby wyjaśnieniem, że magazyny są właśnie w remoncie.

Niewykluczone, że remont ów przeciągnął się do naszych czasów, skoro wspomniana wystawa otwarto — właśnie z powodu takich robót — w olbrzymich halach leningradzkiego Maneżu, a więc poza budynkiem muzeum. Propagowana głównie metodą „wieści gminnej”, wzbudziła przecież wielkie zaciekawienie mieszkańców „całego Leningradu”, przyciągając nadto moskwičan, którzy ciągnęli ponoć nad Nowę w spontanicznie organizowanych ekskursjach.

Odkrywana ponownie sztuka awangardy nie wzbudza jednak powszechnego entuzjazmu wśród

To tylko jeden z przykładów przywracania wybitnego twórcy pamięci zbiorowej i komponowania nowego, bardziej różnicowanego niż obowiązujący do niedawna, obrazu radzieckiej tradycji kulturowej, w którym obok rozlicznych wersji plastyki realistycznej, dekoracyjnej i „poprawiającej” rzeczywistość pojawia się konstruktivism: sztuka spirytualna, to znów ostentacyjnie użytkowa, zawsze przecież unoszona utopijnym marzeniem o całkowitej przebudowie człowieka i świata przez twórczość.

Firma Sotheby wybrała więc dogodny moment do złożenia wizyty w Związku Radzieckim.

Przeglądając program wyprawy i mając w pamięci rozmowy z „naszym” nowojorskim artystą, Tadeuszem Mysłowskim, który wraz z żoną Ireną Hochman, brał udział w ekskursji, by w drodze powrotnej zawadzić o Lublin — dochodzę do wniosku, że sama aukcja (7 lipca) była tylko pretekstem, organizacyjnym punktem wyjścia do strategicznego rozpoznania zasobów sztuki i sytuacji w radzieckim ruchu artystycznym, może nawet w ogóle tego, co dzieje się w kraju pierestrojki. No cóż, dealerzy zachodni stronią od gry „w ciemno”, mają w nosie doraźne, choćby spektakularne akcje.

Już w pierwszym dniu pobytu w Moskwie (2 lipca) uczestnicy imprezy wysłuchali wykładów na

## Sotheby, nowi Rosjanie i hala dam

Ireneusz J. Kamiński

publiczności, wychowanej na odmiennych wzorach estetycznych, będących pochodną realizmu socjalistycznego. Chcąc uświadomić ludziom wielowątkowy charakter współczesnej kultury artystycznej, muzea moskiewskie przygotowały cykl wykładów, podczas których wyjaśnia się słuchaczom naturę twórczości Picassa, Kandinskiego, Larionowa, Gonczarowej i na czym polega sens pop-artu, abstrakcji, surrealizmu, futurizmu, ekspresjonizmu... Mówi się także o „sztuce w kruchach kapitalistycznych od 1960 do 1980 roku”.

Z mieszanymi uczuciami przyjmuje także publiczność rehabilitację dorobku Kazimierza Malewicza, uznawanego przez krytykę zachodnią za „prawdopodobnie największego artystę rosyjskiego tego wieku”, co i nas może radować, jako że ojciec autora słynnego obrazu „Czarny kwadrat na białym tle” był Polakiem. Pani Douglas stwierdza, że w Związku Radzieckim w ogóle nie ma historia sztuki, który kompetentnie mógłby zająć się egzegezą praktyki twórczej i pism Malewicza. A jest to zadanie pilne i ważne, gwarantujące sporo kłopotów, albowiem chronologia malarstwa artysty posiada istotne luki, wiele jego prac spoczywa gdzieś tam, w prowincjonalnych muzeach i zbiorach prywatnych, większość tekstów teoretycznych ukazała się tylko w angielskim, a spora ich część nie doczekała się publikacji. Cytowany krytyk wyraża jednak nadzieję, że przygotowania do wielkiej wystawy Malewicza w Leningradzie, podjęte wspólnie ze Stedelijk Museum w Amsterdamie — które posiada największą kolekcję dzieł Malewicza na Zachodzie — rozwiną stan badań nad dziełem autora „Białego na białym”.

Wydaje się, że Charlotte Douglas, starszy wykładowca instytutu W. Averalla Harrimana w Columbia University (studia nad Związkiem Radzieckim), nieźbyt ceni wartościową przecież monografię Malewicza, którą pod tytułem „Poszukiwania i eksperymenty” opublikowała Larissa A. Zardowa. Jeszcze inna sprawa, że przyznając się do znajomości tej książki, Douglas odnotowuje w piśmie tylko jej niemiecką i angielską edycję, a pomija wydanie polskie (WAiF) z 1982 roku, przygotowane z wielką starannością, według autorskiego rękopisu. Cóż, Amerykanów przyciągają duże sprawy, duże i silne kraje...

Malewicz zmarł 15 maja 1935 roku w Leningradzie, zatem już po anihilacji awangardy. Może więc warto przypomnieć za Zadową uchwałę rady miejskiej z tamtego czasu: „Biorąc pod uwagę zasługi zmarłego artysty K. S. Malewicza dla sztuki radzieckiej, pogrzbem urządzić na koszt Lensowietu. Prócz tego polecić Wydziałowi Kultury Masowej, by wraz ze Związkiem Plastyków dokonał wyboru dzieł zmarłego do zakupu przez Lensowiet, a także podjął starania w Ludowym Komisariacie Oświaty o przyznanie rodzinie K. S. Malewicza personalnych rent”. Zadowa dodaje: „Wiele dzieł Malewicza nabyło Muzeum Rosyjskie, jego matce i córce przyznano renty”.

Twórcą suprematyzmu, Malewicz polecił się pochować w trumnie którą sam zaprojektował w formie „suprematycznej”. Zgodnie z ostatnią wolą artysty, urna z jego prochami spoczęła daleko od Leningradu, w podmoskiewskiej miejscowości letniskowej Niemczynowka, w której spędził niejedne wakacje.

Niedawno na jednej z chat Niemczynowki odsłonięto tablicę pamiątkową, poświęconą Malewiczowi, a w lokalnym ośrodku kultury wystawiono nieznaną dotąd autoportret malarza. W uroczystości wzięła udział córka artysty, Una, która przed licznym audytorium „z humorem i wzruszeniem” wspominała ojca. Wiele wskazuje na to, że wkrótce w Niemczynowce stanie pomnik Malewicza; jego grób „zagubiła” ostatnia wojna.

temat historii i współczesnej sytuacji sztuki i państwa radzieckiego. Wygłosili je: John Innes Stuart, wybitny, studiujący niegdyś w Moskwie znawca sztuki rosyjskiej i wschodnioeuropejskiej, oraz Martin Walker, długoletni korespondent moskiewski londyńskiego pisma „Guardian”, autor głośnej książki „Przebudzenie olbrzyma. Związek Radziecki za Gorbaczowa”.

Ponadto odbyło się kilka seminariów, które prowadzili tacy eksperci, jak John Ellis Bowlit, Helyn Goldenberg, Vals Osborne, Stacy Scheinberg, John Innes Stuart i James West. Ten ostatni, amerykański rusycysta, wielokrotnie przebywał w ZSRR, gdzie prowadził badania naukowe i wykladał w uniwersytecie leningradzkim.

Najwięcej jednak czasu wyprawa Sotheby poświęciła na oglądanie, zwiedzanie, odwiedzanie i rozmawianie. Wizytowano Kreml, cerkwie, klasztory, wystawy, muzea, pałace, pracownie artystów. Smakowano egzotyczne potrawy w restauracjach gruzińskiej i azerbajdzkańskiej, spożywano dinnery w „cooperative restaurant”, także w tej przy ul. Kropotkińskiej (która podobno na co dzień karmi podłe i drogo, a jeśli wyróżnia się czymś, to przede wszystkim nadętym i leniwym personelem). Swa wolono na oficjalnych bankietach (najlepsza okazja do załatwiania interesów), oklaskiwano cygańskie widowisko. Pani Catherine Davison i pan Henry P. Davison z Nowego Jorku wrzucyli się bardzo podczas zwiedzania pałacu w Ostankino, świętego zabytku XVIII-wiecznej architektury, który niegdyś należał do ich przodków, Szeremiełowów, „arcybogatyń ziemian”, jak podkreśla Ludwik Bazylow w swej „Historii nowożytnej kultury rosyjskiej”.

Dochodziło też do spotkań nie przewidzianych w programie. Jedno z nich odbyło się kilkadziesiąt kilometrów pod Moskwą, w lesie, gdzie rozłożyła się obozem grupa radzieckich „artystów niezależnych”, która na powitanie gości rozwiesiła między drzewami swoje obrazy. „Były wśród nich tak wielkie, jak „Bitwa pod Grunwaldem” Matejki — zapamiętał Mysłowski, na ogół z uznaniem wyrażający się o tamtejszej nowej sztuce, nie mówiąc o klasycznej awangardzie, której jest zagorzałym admiratorem.

Sama aukcja przyniosła kilka milionów dolarów, przy czym jeden z obrazów Aleksandra Rodczenki zakupiono — drogą telefoniczną z Londynu — za 500 tysięcy. Oferowano też oczywiście współczesną sztukę radziecką, podobno przesadzając nieco w ustalaniu wyjściowej ceny. Sotheby chce zarobić, ale Rosjanie też lubią walutę.

Jaki charakter posiada autentycznie współczesna sztuka Kraju Rad, mogliśmy sprawdzić na sporej wystawie malarstwa i rzeźby, która pod tytułem „Nowi Rosjanie” czynna była w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki, od 15 lipca do 5 sierpnia. Neоекспресjonizm, hiperrealizm, realizm o zacięciu publicystycznym — problematyka społeczna, polityczna, obyczajowa: tak najkrócej można by przedstawić tę wartościową, poważną twórczość dwudziestu i kilku artystów z Moskwy i Leningradu.

Mam nadzieję, że nowych Rosjan zechce obejrzeć uczestnicy wystawy młodej i prawie młodej plastyki polskiej, nierofortunnie i bez racji nawiązującej do nazwy „Arsenal” z 1955 roku. „Arsenal 88” okazał się rzeczą w istocie niepoważną, gromadzącą w większości prace albo bezrozumne, albo mino-leryjne. Biorąc pod uwagę proporcje plciowo wystawców — mnóstwo panien i mężatek! — należało ów warszawski pokaz zaopatrzyć takim tytułem: „Hala dam”. I wtedy wszystko byłoby zrozumiiałe i przyjemne.

Myślę, że na wizytę Sotheby w Polsce poczekamy jeszcze długo, bardzo długo.











# Był lampartem, to jest świnią, co się sobą delektował

Adam A. Witusik

**B**YLA autorką wierszowanego pamiętnika pt. „Transakcja albo opisanie całego życia jednej sieroty”, w którym dziedzinę miłości nie traktowała jako wstydlivą, odsłaniając bez wahania i oporów tajemnice alkowy. Należała do nielicznych kobiet, które w XVII wieku uzyskały rozwód. O jej pierwszym małżeństwie, które nie zostało skłósnowane, krążyły dowcipy w rodzaju:

*Za cud dość wielki potrzeba szacować,  
Ze był stróżem panieństwa ten, co go miał psować.*

oraz

*Najdzie się (na pewno) ohojny młodzieniec,  
Co konzenno nadzieję przyrodzony ksieniec.*

Chodzi o Annę Stanisławską, córkę wojewody kijowskiego Michała i Krystyny z Szyszkowskich



Podkomorzyna lubelska Anna ze Stanisławskich Zbąska.

Anna Stanisławska przyszła na świat około 1651 roku w rodzinie magnackiej. Wcześniej straciła matkę. Po jej śmierci wychowywała się u dominikanek w Krakowie. W 1668 r., czyli w wieku najwyżej 17 lat, została zmuszona przez ojca i macochę, Annę z Potockich, do zawarcia małżeństwa z kasztelanem krakowskim Janem Kazimierzem Warszyckim, który — według słów autorki pamiętnika — był „lampartem, to jest świnią, co się sobą delektował”. W 1669 r., gdy małżeństwo nie zostało dopełnione, przy poparciu hetmana wielkiego koronnego Jana Sobieskiego, który był jej krewnym i opiekunem, uzyskała unieważnienie związku. W końcu tegoż roku wyszła powtórnie za mąż — za rotmistrza Jana Zbigniewa Oleśnickiego, który zmarł w 1675 r. podczas wojny z Turkami. W dwa lata po śmierci Oleśnickiego, w 1677 r., wyszła za mąż po raz trzeci — za Jana Zbąskiego, pana na Kurowie, podkomorzego lubelskiego. Trzeci mąż zmarł w 1683 r. z ran odniesionych w czasie odsieczy wiedeńskiej. Po jego śmierci nie wyszła już za mąż, gospodarując samodzielnie znacznym majątkiem. Ustanowiła wiele fundacji dobroczynnych, między innymi w Lublinie ufundowała kościół pomorski. Zmarła wiosną 1701 r. Z żadnym z małżonków nie doczekała się potomstwa.

Anna ze Stanisławskich Zbąska przeszła do historii przede wszystkim dzięki swemu pamiętnikowi „Transakcja albo opisanie całego życia jednej sieroty”. Utwór ten powstał w 1685 r. jako „żałosne treny” na śmierć jej mężów — Oleśnickiego i Zbąskiego, których utraciła w wojnach tureckich. Anna ze Stanisławskich Zbąska pisała swój wierszowany pamiętnik, mając — jak się przypuszcza — około 34 lat. W momencie pisania pamiętnika uważała już swoje życie za zamknięte, po trzech małżeństwach — jednym nieudanym, dwóch szczęśliwych — niczego od losu się nie spodziewając.

Wszyscy historycy są zgodni, że „Transakcja” nie reprezentuje większych wartości literackich. Znakiem badacz kultury Aleksander Brückner stwierdził: „Wiersze marne, ale ten «koncept białogłowski» to jedna z najciekawszych rzeczy XVII wieku, przecież to najdawniejszy romans obyczajowy polski”. Właśnie fakt, że autorem dzieła jest kobieta, i że utwór ten jest doskonałym źródłem do poznania ówczesnej kultury obyczajowej, wyznaczył „Transakcji” poczesne miejsce w dziejach literatury polskiej XVII wieku.

Anna ze Stanisławskich Zbąska napisała autobiografię czystej wody. Wszystkie sprawy, które nie wiążą się z jej własnymi dziejami, są skrętnie pomijane. Jakże pamiętnik Anny ze Stanisławskich Zbąskiej jest inny od pamiętników pisanych przez mężczyzn. Gdy ówczesne pamiętniki męskie pełne są wojny, polityki, trybunałów, gospodarki, relacji z odbytych podróży zagranicznych, to „Transakcja” jest pamiętnikiem intymnym, ściśle osobistym. Jest w nim i gorycz, i rozczarowanie, i miłość, i szczęście i smutek i rezygnacja, słowem wszystko, co intymne, co osobiste.

Krytycyzm i zmysł obserwacyjny pozwoliły Annie ze Stanisławskich Zbąskiej na plastyczne przedstawienie zarówno kolejnych małżonków, jak i swego otoczenia.

Ojciec i macocha w dążeniu do umocnienia pozycji rodowej zmusili Annę do małżeństwa z degeneratem i debilem, kasztelanem krakowskim Janem Kazimierzem Warszyckim. Ojciec następująco argumentował córce korzyści wynikające z poślubienia Warszyckiego:

*Puszczaj mu szerokie włości  
i dość wiele majątności,  
W czym zaś rozum nie dochodzi,  
to Fortuna zaś nagrodzi.  
Będiesz wszelką wolność miała,  
jak pani rozkazywała.  
Ja też żadnej krzywdy tobie  
nie dam czynić, uważaj siebie!*

Warszycki przerażał Annę brzydota.

*Ni sum z wąsem zapuszczonym,  
żuraw z karkiem wyciągnionym*

— napisała na kartach swego pamiętnika. Szokowała ją także jego głupota:

*Bo cokolwiek tylko powie,  
każdy widzi, że źle w głowie.*

Nowa niespodzianka spotkała pannę młodą w łóżnicy. Warszycki, zwany w pamiętniku pejoratywnie Ezopem, zamiast „psować panieństwo”, zajął się „kapaniem much” i „wycieraniem palcem prochów”. Podobna sytuacja „na polu kupidynowym” powtórzyła się i następnej nocy:

*Ezop też już spać odchodzi,  
i choć go baba podwodzi,  
Coś mu radząc: „Mówże do niej!”  
a on jej rzekł: „Cóż tam po niej?”*



Karta tytułowa rękopisu wierszowanego pamiętnika Anny ze Stanisławskich Zbąskiej.

*Znowu mu szepce do ucha,  
ale on tego nie słucha.  
I że się jej nie powodzi,  
więc za nią z łuby wychodzi.*

Anna bez wątpienia wolałaby sytuację opisaną w innym wierszu i nie przez nią, gdzie mężczyzna nie tylko czynił „te rzecz”, lecz czynił podczas jednej nocy wielokrotnie:

*Kiedy przestaniesz, Stasiu niebudy,  
Ledwie co dyham, tak z mordowana,  
Czyliś rozkoszy jeszcze nie stył,  
Z wieczornej chwili aż do rana?!*

Kapitałne są zwłaszcza te fragmenty „Transakcji”, w których Anna przedstawia niedorzeczne postępowanie swego pierwszego męża. Ot chociażby opis, jak Ezop chciał spalić kościół, ponieważ pogryzły go w nim pchły:

*Kościółowi nie folguje,  
także pałic rozkazuje.  
Leć i ksiądz się nie wybiega:  
czem z dzwonnikami nie biega  
Po kościele, wyganając  
pchły z kościoła, wymiatając:  
Ze go wszystkich obsiedli  
i ludki u nóg objedli.*

Czy opis, jak kazał „baby palić”, ponieważ „mu od deszczu suknia zmokła”, a że to one „deszcz puściły”? Albo opis dramatycznej sytuacji, gdy Anna wyrwa się z rąk męża, który ją dławil za szyję, chcąc się naocznie przekonać, jak to dusza z człowieka wylatuje.

Po unieważnieniu małżeństwa Anna wyszła za mąż po raz drugi, tym razem za przystojnego, gorąco ją pragnącego Jana Zbigniewa Oleśnickiego. O tym okresie swego życia napisze w pamiętniku:

*Toż się ze mną wtenczas działo,  
bo mi się właśnie widziało,  
Zem żyć dopiero zaczęła.*

Szczęśliwie ułożyło się jej poćwiczenie małżeńskie również z trzecim mężem — podkomorzym lubelskim Janem Zbąskim, właścicielem Kurowa.

Życie intymne kształtowało się podówczas bardzo różnie, ale często przebiegało w atmosferze radości, i satysfakcji. Pozytywny stosunek do przeżyć erotycznych, pokazywanie ich jako czegoś naturalnego, bez zawstyżenia, bez poczucia winy, grzechu, nie dowodzą rozwiązłości autorki „Transakcji”, kłócą się jednak ze stereotypem zażenowanej w sprawach miłości fizycznej niewiasty ówczesnej. Równie śmiało będzie pisać o tych sprawach w swych pamiętnikach pt. „Dzieje moje własne i osób postronnych. Wiązanka spraw poważnych, ciekawych i blahych” Kwilecka-Fiszera, a nie będą to już czasy Oświecenia, a nie Kontrreformacji, w których żyła Anna, Kwilecka-Fiszera w swych pamiętnikach opowiada, że jej pierwszy mąż przychodził do alkowy późno w nocy, po całodziennym pijaństwie, pieszczotami jednak potrafił przelamywać jej zadanie czy gniew: „Tak mnie śmieszył, pieścił, że odezwać się musiałam. Mowy nie było o wypoczynku, póki ze mną pozostawał [...] Po dziesięciu latach małżeństwa pieścił mnie, jak pierwszego dnia, gorliwie spełniał swoje powinności małżeńskie, a ja się nie wzbraniałam, bo lubiałam się śmiać i byłam łatwa, a on mi się podobał”.

Anna kochała — i to mocno — tak drugiego męża, jak i trzeciego, i pragnęła być kochaną przez nich. Najmocniej widać to chyba w opisie zgonu Zbąskiego, którego — według niej — jedynym marzeniem było widzieć ukochaną żonę:

*Przecie miłość nie ustala,  
która ku mnie dotąd trwała,  
Każdego się pyta o mnie,  
jeżeli posłali po mnie.  
Z bratem ledwo się przywitał,  
a zaraz się o to pytał,  
Jeżeli i ja pośpieszę:  
„niech się z nią jeszcze uciesze!”*

Równocześnie dostrzegala, iż w życiu jest więcej trosk i smutków niżli szczęścia i radości. Tak między innymi o tym pisze:

*Porachuj każdy swój wiek od młodości,  
czy nie naliczysz więcej w nim porzkości  
Niżeli pociech, co się znajdowały;  
a te, choć były, to niedługo trwały.*

Pamiętnik Anny ze Stanisławskich Zbąskiej, wolny od konwencjonalnych frazesów, od przemilczeń i niedomówień, pozwala poznać psychikę, mentalność, kulturę kobiety tego okresu. Kreślony żywa, prosta, potoczna polszczyzna, ma charakter poufnych zwierzeń. W tym intymnym pamiętniku zawarta jest niemala część prywatnego, codziennego życia wraz z bogactwem szczegółów cennych dla historyka kultury, pożytecznych także dla powieściopisarza. Czytając go, czujemy koloryt, ruch, woń i smak odległej przeszłości.

## Kryminalny horror

**P**OSIADACZE magnetowidów znają zapewne film amerykańskiego reżysera Alana Parkera — „Ptasiek”, doskonale zrealizowaną, psychologiczną opowieść o chłopaku z małomiasteczkowego środowiska, wrażliwym, nieufnym wobec otaczającego go świata, natomiast kochającym ptaki. Co w końcu doprowadza chłopca do psychicznej identyfikacji z rodzajem ptasim, zanegowania rodzaju ludzkiego z jego zachłannością na dobra materialne, ciągłą rywalizacją, z bezsenssem wciąż nowych wojen. Zresztą do końca filmu widz nie potrafi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy bohater „Ptasika” jest osobnikiem popadającym coraz głębiej w schizofrenię, czy człowiekiem opanowanym bez reszty swoją własną wizją życia, czy też nawiedzonym kontestatorem lub — w dalszej części filmu — genialnym żołnierzem-symulantem, pragnącym uzyskać zwolnienie z wojska... Parker doskonale potrafi operować nastrojem, suspensem, niedopowiedzeniem, mieszając pewną ręką brutalny realizm z poetyckością, okrucieństwo z liryzmem.

Podobnym walorami cechuje się inny film Alana Parkera, „Harry Angel” (który właśnie możemy oglądać na ekranie kinowym), choć sięga on do zupełnie innej tematyki i innej konwencji, niż to było w wypadku „Ptasika”. Jest bowiem „Harry Angel” filmem ukierunkowanym na szeroką widownię, krwawym horrorem, w którym to gatunku, jak wiadomo, nie żaluje się na ekranie „mocnych” efektów, momentów grozy, scen ściągniętych włos na głowie itp. Lecz jest to zarazem doskonale, według najlepszych wzorów z lat pięćdziesiątych zrobiony film detektywistyczny, inteligentny „kryminal” o wyciszonym, nostalgicznym tempie narracji. Pod jego niektórymi partiami mógłby się podpisać Alfred Hitchcock.

Ta dwoistość filmu Parkera ma także swój odpowiednik w dwoistości postaci głównego bohatera, tytułowego Harry'ego Angela. Młodego, tuzinkowego prywatnego detektywa bez większych ambicji zawodowych, któremu powierzono wytropienie miejsca pobytu pozbawionego świadomości osobnika, jak nagle w tajemniczy sposób zniknął z prowincjonalnego zakładu psychiatrycznego. Angażując się coraz bardziej w sprawę, Harry Angel zaczyna odczuwać wrażenie, jakby stąpał po śladach kogoś mu znanego, choć o zupełnie innej psychice i osobowości niż on sam.

A wszystko to dzieje się w pejzażu Stanów Zjednoczonych połowy lat pięćdziesiątych. W scenarii jakby wyjętej z opowieści Caldwell, Steinbecka, Faulknera. Na małych zaśmieconych uliczkach przedmiejskich Północy, wśród nędznych, brudnych, murzynskich wiosek. Południa lub w zdeklasowanych białych dzielnicach dawnych „stolic” uprawy bawełny. W tym dziwnym, tajemniczym świecie — egzystującym z dala od asfaltowych autostrad, nowoczesnych samochodów, żelazobetonowych drapaczy chmur i innych zdobyczy nowoczesnej cywilizacji — w świecie przesiąkniętym czarną społecznością roi się od dziwnych sekt, tajemniczych wróżek, kapłanów i uczniów czarnej magii. Tu, pod leniwą powłoką upału lejącego się z nieba, czają się gorące

ludzkie namiętności, objawiające się nagle z nieprawdopodobną siłą. Tu zdarzają się rzeczy, o jakich nie śniło się filozofom, a niemożliwe stają się oczywistym. Właśnie tutaj detektyw Harry Angel z racjonalistycznego świata Północy odkryje swoje drugie, przerażające „ja”.

Parker w doskonały sposób oddaje świat lat pięćdziesiątych. Robi to jakoby mimochodem, od niechcenia, na marginesie opowiadanej przez siebie historii. Ale właśnie na tym polega sztuka reżyserska, aby „drugą plan”, na którego tle poruszają się dramatis personae, gubił się niejako w swej naturalności i oczywistości. Pomagają w tym reżyserowi aktorzy — grający główną rolę młody Mickey Rourke, Charlotta Rampling i Robert De Niro. Szczególnie Rourke potrafił doskonale

wniknąć w sposób bycia, myślenia, reagowania przeciętnego młodego Amerykanina z połowy lat pięćdziesiątych.

Alan Parker pokazuje, że dzisiaj również — nawet odpowiadając na zapotrzebowanie młodej widowni, która stanowi większość publiczności kinowej — można w obrębie trzeciorzędnych gatunków filmowych kreć obrazy znaczące pod względem artystycznym. A więc może nie jest aż tak źle, jakby się wydawało niektórym krytykom „wieszczącym upadek kina.

Ze swej strony, choć nie jestem specjalnym zwolennikiem horrorów, zachęcałbym do obejrzenia filmu „Harry Angel”. Bo to naprawdę (mimo zbyt splotonego zakończenia) kawał dobrego kina. **M. D.**



## Pocztą literacką

**BOGDAN B. Radzyna Podlaski.** Pana opowiadanie „Córka” napisane jest poprawną polszczyzną, co oznacza, iż umie pan posługiwać się językiem polskim. Jeżeli chodzi o bardzo młodego i początkującego autora, jest to już dużo i rokuje nadzieje, że z czasem opanuje pan pozostałe arkania sztuki pisarskiej. Są to: umiejętność zatrzymania uwagi czytelnika, niebanalny temat, własne sady o życiu wynikające z osobistych doświadczeń, wreszcie — umiejętność pointowania. „Córka” demonstruje na razie, że opanował Pan język. Natomiast temat na opowiadanie wybrał Pan nieszczęśliwy. Jest mnóstwo opowiadań (a nawet kilka filmów telewizyjnych) o tym, jak stary rodzic ze wsi odwiedza swoje dziecko, świeżo urządzone w wielkim mieście, i potraktowany zostaje jak obcy człowiek: Opowiadanie Pana przeczytałem z uwagą tylko dlatego, że ciekaw byłem zakończenia: czy wyjdzie pan poza utarty schemat, czy zakończy pan narrację szablonoowo. Wybrał pan, niestety, szab-

lon, co świadczyłoby chyba o tym, że od siebie samego ma Pan jeszcze niewiele do powiedzenia o świecie. Toteż opowiadanie nie kwalifikuje się do druku. Radzę jednak nie zrażać się moją oceną, dużo czytać, poznawać ludzi i ich problemy. No i pisać, pisać, bardzo dużo pisać, choćby miały to być próby wędrować jeszcze do kosza. Jak powiedział wybitny pisarz czeski Milan Kundera, aby pisać, trzeba dużo pisać, co znaczy, że do sztuki artystycznej i niebanalnych spostrzeżeń dochodzi się poprzez uporczywy trening. Amerykański pisarz Brian Moore uważa podobnie, twierdząc, że na sukces pisarza składa się 90 proc. ciężkiej harówki, 9 proc. szczęścia i 1 proc. talentu. Wprowadźcie życie literackie i wydawnicze rządzą się w Polsce innymi prawami niż na Zachodzie, jednak myślę, że warto te opinie potraktować poważnie. Zwłaszcza ktoś taki jak Pan, który nie ma nic do stracenia, zaś cały świat do zdobycia. Proszę odezwać się za parę miesięcy.

**ISTVAN D. Gdańsk.** Oczywiście, drukujemy przekłady poezji węgierskiej. Ale jeden wiersz to stanowczo za mało, poza tym wiersz chyba nie najlepszy. Jeżeli już przekładać, to coś, co byłoby dla polskiego czytelnika nową propozycją artystyczną i intelektualną. Wydaje mi się tymczasem, że albo przekład szwankuje, albo poeta, którego wziął Pan na warsztat, nie jest wysokiego lotu. Proszę zatem o większą (bardziej reprezentatywną) próbę Pańskich możliwości translatorskich oraz większy wybór z twórczości poetów,

których Pan tłumaczy. Dobrze byłoby również, aby dołączył Pan krótkie noty biograficzne i bibliograficzne tłumaczonych autorów.

**JERZY N. Lublin.** Pańskie wiersze zdradzają pewną kulturę literacką, może raczej czytelnicze obycie z najnowszą poezją. Pan wie, jak to „się robi” i próbuje naśladować. Toteż gdyby te wiersze poskracać, poprzestawiać niektóre słowa i wersy, zrobiłyby się z nich utwory spełniające wymogi druku. Ale to wszystko, co można powiedzieć o tej poezji. Brak jej własnego, indywidualnego tonu, a tego przede wszystkim oczekuje się od poezji. Fraszkę są jeszcze — niestety — gorzej, a jedna po prostu niesmaczna (o telefonie). Natomiast humoreska „Sen opowiedziany” jest na tle wierszy i fraszek utworem, który dobrze świadczy o Pańskim talencie. Może dlatego, iż poczucie humoru nie można się nauczyć, nie można naśladować w tej mierze innych. Albo się je ma, albo nie ma. Pan, na szczęście, poczucie humoru ma, toteż „Sen opowiedziany” rokuje, że może Pan być niezłym autorem humoresek — gatunku rzadkiego dzisiaj i pilnie poszukiwanego przez wiele redakcji (także „Kamień”). W tym, co Pan pisze, jest bowiem własny ton, osobista zaduma nad meandrami życia i ironią losu. Niech Pan podesłże za parę miesięcy kilka nowych rzeczy. Być może porozmawiamy już o druku.

**JAN G. Warszawa.** Roy Bradbury napisał wiele lat temu opowiadanie osnute na następującym pomysle. Otóż jeżeli liczba liter jest skończona i liczba

słów w danym języku jest także skończona (a nawet liczba słów we wszystkich językach istniejących na Ziemi jest liczbą skończoną), to znaczy, że stukając bezładu i składu w maszynę do pisania, po jakimś — może bardzo długim, ale na pewno skończonym — czasie wystuka się przypadkiem np. „Robinsona Cruzo” Daniela Defoe. Jeżeli w maszynę stuknąć będzie nie jedna osoba, ale np. kilka milionów, ten czas oczekiwania na powtórne napisanie arcydzieła Bradbury'ego posadził przed maszynami do pisania kilkaset szympanów i po paru miesiącach uzyskał przewidywane rezultaty, czyli „Robinsona Cruzo”. Inny szympan napisał powtórnie „Wojnę i pokój” Tolstoja, a jeszcze inny sonety Szekspira. Fakt, że tak naciągana hipoteza sprawdziła się, spowodował na bohatera opowiadania obłęd: zastrzelił on z rewolweru wszystkie szympany, po czym sam popelnił samobójstwo. A piszę o tym dlatego, aby przypomnieć Panu, że „Chatka Puchatka” została już kiedyś napisana. Toteż jeżeli chce Pan w dalszym ciągu oddawać się pracy literackiej, radzę stuknąć w maszynę po głębokim namyśle, w przeciwnym wypadku będzie Pan powtarzał eksperyment Bradbury'ego, z czego nic dobrego dla autora tego eksperymentu nie wyszło.

**STANISŁAW J. K. Biała Podlaska.** Utwory zakwalifikowane do druku. Musi Pan jednak uzbroić się w cierpliwość. Kolejka w „Kamieniu” bardzo, bardzo długa.

# Przedolimpijskie pogwarki

## W sporcie nie ma przypadków

### Rozmowa z Christo Markowem-trójskoczkiem

Christo Markow jest rekordzistą świata w trójskoku juniorów z wynikiem 14,42 m i rekordzistą Europy wśród mężczyzn z wynikiem 17,92 m, halowym mistrzem świata (Paryż 1985), mistrzem Europy (Budapeszt 1985) i ponownie mistrzem świata (Rzym 1987). Będzie jednym z reprezentantów bułgarskiej drużyny lekkoatletów na olimpiadzie w Seulu. Choć niezbyt chętnie mówi publicznie o swoich zamierzeniach, niedawno przyznał się, że liczy nie tylko na tytuł olimpijski, ale też na to, że uda mu się zrealizować swe wielkie marzenie — pokonać 18 m.

— Czy w pańskich sukcesach jest jakiś element przypadkowości?

— W wielkim sporcie przypadek nie istnieje. Moja kariera sportowa zaczęła się przed dziesięcioma laty kiedy to zdecydowałem się na pójście do szkoły sportowej. Od tamtego dnia codziennie — i nie ma od tego wyjątku — jestem na boisku. Nie będę ukrywać, że jestem ambitny. Kiedy podczas halowych mistrzostw Europy w 1987 r. z powodu wcześniej doznanej kontuzji nie byłem w stanie osiągnąć zamierzonych wyników, postanowiłem zmobilizować siły, i miesiąc, dłużej niż od Mistrzostw Świata w Rzymie, poświęciłem na intensywny trening. Postanowiłem udowodnić — i zrobiłem to — że jestem zawodnikiem najlepiej przygotowanym do zdobycia tytułu mistrza świata. Moim zdaniem, w sporcie nawet kontuzja nie jest dziełem przypadku. Zwykle dochodzi do niej, gdy jakaś grupa mięśni nie jest trenowana w maksymalnym stopniu.

— Czego spodziewa się pan po olimpiadzie?

— Moi główni rywale w trójskoku są mi dobrze znani. Są to Mike Konley, zawodnicy szkoły radzieckiej i Polacy, z takimi reprezentantami jak Pastusiński i Hoffman. Wszyscy oni są w stanie przekroczyć granicę 18 m. W Seulu chcę być jednak najlepszy. Trójskok to trudna dyscyplina.



Rys. Tomasz Wilczkiewicz

scypina. Stanowi połączenie szybkości, dobrego odskoku, techniki i siły. Każdy element skoku musi być wypracowany w najdrobniejszych szczegółach. Trenuję 3-4 godziny rano i tyle samo po południu, lecz myślę, że decydujące znaczenie będzie miało nastawienie psychiczne. Poza doświadczeniem mam jeszcze jeden atut — żonę, która była również lekkoatletką i doskonale wie, jaki wkład w moje zwycięstwo może mieć rodzina. Właśnie ona, wspólnie z moim trenerem Czawdarem Czendowem, przygotowuje mnie psychicznie do zwycięstwa.

— Profesjonalny sport i rodzina. Czy zostaje jeszcze trochę wolnego czasu?

— Mój program jest niezwykle napięty: zawody, treningi, zgrupowania. Odrobinę wolnego czasu, jaki mi zostaje, najchętniej poświęcam synowi. Musi czuć, że ma przy sobie ojca, żadne prezenty mu tego nie zastąpią. Moim hobby jest muzyka. Posiadam dziesiątki taśm magnetofonowych i o ile mogę, śledzę poczynania estradowe zespołów, które lubię.

— Podobno przed zawodami bywa pan przesądny?

— I to iak! Jak to się popularnie mówi — uważam, żeby czarny kot nie przebiegł mi drogi. Wiem, że jestem solidnie przygotowany, jednak wolę nie udzielać wywiadów. Nie stawiam wprawdzie pasjansów, ale konieczne muszą posłuchać muzyki. Pewne rzeczy muszą mieć miejsce, żeby mógł dobrze skoczyć.

— A na co sobie pan pozwala? Czy to prawda, że pan pali?

— Nic, co ludzkie, nie jest mi obce. W wielu przypadkach reżim, jakiego muszę przestrzegać jako sportowiec, bardzo mnie męczy. Bardzo trudno pogodzić sport zawodowy z przyjemnościami. W dalszym ciągu palę, jednak kiedy zobaczę, że papieros ujemnie wpływa na moją sportową karierę — natychmiast rzucę palenie.

— Dzisiaj jest pan gwiazdą, ale czy nie obawia się pan momentu, w którym trzeba będzie rozstać się ze sportem?

— To zależy od tego, w jakiej kondycji opuścę arenę sportową. Mógłbym zostać trenerem. Ponieważ jednak z zasady przyszłość zawodowego sportowca jest trudna do określenia, nie tylko zresztą w Bułgarii, postanowiłem w tym roku podjąć studia.

Rozmawiał: Kirył Gocew

# Krzyżówka nr 18

## Szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment utworu polskiego pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 14 początkowych wyrazów pomocniczych. Uwaga: w imieniu autora litery „I” zastąpiono literą „J”. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

### WYRAZY POMOCNICZE.

- wstępuje się w nie — 5. 136. 115. 165. 154. 127. 134.
- kolorowa w oku — 6. 122. 23. 106. 82. 67. 21. 33.
- rosyjska miara długości — 7. 31. 103. 17. 74. 52.
- także pech — 12. 53. 3. 45. 123. 89. 32. 42. 168. 71. 26. 65.
- głupota: 13. 143. 41. 22. 48. 179. 90. 112.
- włosy zwierzęcia — 16. 171. 126. 178. 93. 169.
- chorobliwa plama na skórze — 2. 125. 46. 63. 44. 66.
- zabór obcych ziem — 1. 137. 14. 85. 19. 55. 60.
- owoc na sok — 15. 88. 139. 159. 141. 39.
- „Pójdź dziecko, ja cię uczyć każę” — 29. 11. 64. 107. 75. 95. 27.
- japońska złotówka — 97. 9. 73.
- podwyższona temperatura — 81. 117. 110. 152. 135. 72. 50. 36.
- samochód komunikacyjny — 30. 177. 166. 70. 116. 146. 120.
- taniec argentyński — 20. 148. 43. 109. 132.
- pustelnikom służyły za pokarm — 131. 4. 61. 34. 108. 113. 99. 68.
- miasto słynne porcelaną w Poznańskim — 140. 76. 111. 35. 77. 160. 80. 145.
- na nodze — 59. 57. 8.
- Lubelski, Wielkopolski lub Mazowiecki — 130. 25. 176. 105. 128. 147.
- religijna prośba — 51. 84. 69. 87. 79. 172. 163. 104.
- jest przeciw — 157. 101. 24. 38. 18. 94. 151. 162.

21. pomarszczona tkanina na suknie — 149. 92. 174. 153. 54. 155. 164.
22. dźwięk danej wysokości — 96. 156. 91.
23. odmieniec — 62. 28. 114. 83. 175. 46.
24. są w Puszczy Białowieskiej — 161. 47. 58. 37. 144.
25. „Rosną tak wysoko, jak pan leży głęboko” — 98. 121. 56. 102. 49.
26. romantyczny las — 142. 150. 118.
27. napiwek dla Charona — 167. 158. 86. 170.
28. po ułkuciu komara — 78. 119. 124. 173. 133.
29. zawiera nasiona — 100. 129. 138. 10.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji

(skr. pocz. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 1000 zł.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 16 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Satysfakcja opowiadania plotek jest tak kolosalna, że wolę zawsze zaskarbić sobie czyjaś życzliwość czy wręcz przyjaźń za to, że nie przerywając wysłuchałem, niż uchodzić za besenwissera, którego zaskoczył cymkolwiek już nie sposób.

Jerzy Wittlin  
„Pójdź ze mną”

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 16 nagrodę wylosowała Danuta Chyla, 20-203 Lublin, ul. Skibińska 9 m. 3.

1	2	3		4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14		
15	16	17	18	19	20	21	22		23	24		25	26	27		
28	29	30	31	32	33		34	35	36	37	38	39		40	41	
42		43	44		45	46	47	48	49	50		51	52	53	54	
55		56	57	58		59	60	61	62	63	64	65	66		67	
68	69	70	71	72	73	74	75	76		77	78	79	80	81	82	
83		84	85	86	87	88	89	90	91	92	93	94	95		96	
97	98	99	100		101	102	103	104	105	106	107		108	109	110	
111	112	113	114	115		116	117	118	119		120	121	122		123	
124	125	126	127	128	129		130	131	132	133	134	135	136	137	138	
139	140	141		142	143	144	145		146	147	148	149	150	151	152	
		153	154		155	156		157	158	159	160	161	162		163	164
165	166	167	168	169		170	171	172	173	174	175	176	177	178	179	

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kamiński, Andrzej W. Pawluczuk (sprawy literackie; interesantów przyjmuje we wtorki w godz. 13-14). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Pa. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 346-38.

Adres redakcji: 20-025 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 254-83, sekretarz redakcji 218-93, dział publiczny styki i literacki 275-38. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-025 Lublin, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1801. 18.08.83 r. A-3

# Ostatki lata



Fot. Waldemar Stępień



Fot. Waldemar Stępień



Fot. Tadeusz J. Chmielewski